

Tabl. do Nr. 173483.

Stanisław Schnür-Septowski

OJCIEC BEM

(Opowieść dziejowa)



Złoczów.

Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

39045

I

Opochneum (C) 1934



„Ty wiesz, żem nie przez dumę, lub chęć
marnej sławy,
Lecz na to, by z Twym wrogiem bój
odnowić krwawy
I pod obcym sztandarem służyć sprawie
bratniej,
Pochwycił za półksiężyc jak za lont
armatni“

K. Gaszyński.

Cicho, bez kłamanych zachwyków i panegiryków, minęła w roku 1894 setna rocznica urodzin jednego z największych wodzów, jakiego Polska wydała w tym wieku. Na dalekim Wschodzie, w Aleppo, muzułmańskim przykryty turbanem, leżał na wiekuisty spoczynek stary lew Lechistanu, nie doczekawszy się ostatniej w swem życiu pociechy, chwili krwawego na Moskwie odwetu.

Walczył on za wolność dwóch ludów, ale jego zasługi i męstwo odznaczyli obcy nie swoi. Piersi jego nie pokrywały złociste ordery, jakimi błyszczeć zwykli wierne królów

sługi, lecz żołnierze zwali go na polach bitwy, wśród gradu morderczych pocisków — ojcem. W starych pamiętnikach i w powieści starców żyje jeszcze postać bohatera, którego rysy przypomnieć pragnę młodszemu pokoleniu i skreślić choćby w najogólniejszym obrazie żywot tyle czynny, pracowity męża, którego nazwisko zdobić będzie obok Kościuszków i Dąbrowskich karty naszych dziejów wojennych.

Mówię o Józefie Bemie.

Zacharyasz Józef Bem ujrzał światło dzienne w Tarnowie w dniu czternastym marca 1794 roku. Ojciec jego, Andrzej, wywodził się z starej rodziny szlacheckiej, pochodzącej z Prus a pieczętującej się gryfem. Matką była Agnieszka z Gołuchowskich. Dotychczas wskazują w Tarnowie dom, w którym wielki nasz wódz przyszedł na świat. Jest to budynek narożny przy ulicy Targowej, oznaczony dziś numerem trzynastym, którego część pewna wychodzi na plac zwany dawniej: Burkiem, obecnie placem świętego Ducha.¹⁾ Widocznie nowonarodzone niemowlę było słabuchne i nie rokowało dłuższego życia, gdyż

1) Dotychczas nie była znana dokładna data urodzin Bema, który — jak widzimy — na pierwsze imię zwał się Zacharyasz. Dzięki uczynności p. Adolfa Vayhingera, rejenta w Tarnowie, udało mi się wydstać odpis urzędowy metryki urodzin Zacharyasza, Józefa Bema. Jemu też zawdzięczam wiadomość o domostwie, w którym generał przyszedł na świat, za co mu na tem miejscu najszczerze składam dzięki. (Autor.)

dziekan katedralny, ksiądz Wojciech Strykowski, ochrzcił je natychmiał z wody, zaś ceremonii kościelnej chrztu formalnego dopełnił dopiero w dniu piętnastym stycznia 1795 roku.

Andrzej Bem był w Tarnowie adwokatem, jak mówiono wówczas, foralnym, lecz niebawem rzucił palestrę i oddał się gospodarstwu rolnemu, zakupiwszy posiadłość ziemską pod Kielcami. Dla tego też Józef Bem otrzymał pierwsze wykształcenie w szkołach krakowskich, gdzie już od dziecka zdradzał nadzwyczajne zdolności w naukach matematycznych. Z chwilą, gdy Księstwu Warszawskiemu w roku 1809 przypadł w udziale gród podwawelski, zapragnął piętnastoletni wyrostek zaciągnąć się w szeregi wojskowe, lecz światły ojciec, zezwalając mu na wybór żołnierskiego zawodu, oddał syna w marcu 1810 r. do stworzonego w Warszawie z rozkazu Napoleona korpusu kadetów. W trzy lata później, (w roku 1812), wziął Bem udział jako podporucznik konnej artylerii w wyprawie na Moskwę, walcząc pod rozkazami Macdonalda i Davoust'a, by po pamiętnym z Rosyi odwrocie znaleźć się w murach Gdańska. I wówczas to komendant tej twierdzy, generał Rapp, podał Bema z powodu okazanej waleczności do krzyża legii honorowej. Gdy Gdańsk kapitulował, powrócił Bem

do domu rodzicielskiego, lecz podczas reorganizacyi armii Królestwa Kongresowego widzimy go znów w szeregach. Przydzielony do polnej artyleryi, mianowany został kapitanem drugiej klasy w r. 1819, a zarazem obok doświadczeń rac kongrewskich zalecono mu objąć katedrę profesorską w warszawskiej szkole artyleryi. Rezultatem badań Bema było ogłoszone w roku następnym w Weimarze dzieło pod tytułem *Erfahrungen über die Congrevschen Raketen*, które w sferach zawodowych ogólnem cieszyło się uznaniem. Również jako profesor okazał się młody kapitan znakomitą siłą. Jasność wykładu szła u niego w parze z zdolnością objęcia całości przedmiotu i z należytem tegoż pogłębieniem. Surowy i wymagający wobec uczniów, zjednał sobie mimo krótkiego czasu trwania wykładów ich miłość i szacunek, lecz straszliwy wypadek omal, iż nie pozbawił go wówczas życia. Podczas doświadczeń, czynionych w laboratorium chemicznem, materya wybuchowa, umieszczona w kotle, eksplodowała, a jednym z najbardziej okaleczających skutkiem straszliwej katastrofy był właśnie Bem, stojący najbliżej przy kotle. Wybuch oszpecił jego twarz do niepoznania, a nawet przez czas dłuższy wątpiono, czy uda się mu ocalić wzrok.

Po sześciu tygodniach, dzięki troskliwej

opiece lekarskiej, powrócił Bem do zdrowia i wytrwawszy do końca roku na stanowisku nauczycielskiem, upraszał przełożoną władzę o uwolnienie od obowiązku, który uważał jako nieodpowiedni dla siebie. Od usunięcia się ze szkoły nie odwiódł go bynajmniej awans na kapitana pierwszej klasy. Natomiast niechęć pełnienia obowiązków nauczycielskich naraziła Bema na srogi gniew ze strony kapryśnego wielkiego księcia Konstantego, żądającego od podwładnych niewolniczego posłuszeństwa. Udział Bema w sprawie Łukasieńskiego nastreścił tyranowi pożądaną sposobność do wywarcia swej zemsty na nieszczęsnym.

„Jednego dnia aresztowano Łukasieńskiego i wyższych urzędników spisku“ — pisze Bem w swej rozprawie o *Powstaniu Narodowem w Polsce* — „których do różnych więzień potracano. A chociaż papiery, które zabrano, nic nie okazały, bośmy mieli ostrożność nic na piśmie nie robić, coby rządowi za brzoń przeciw Towarzystwu służyć mogło, trzymano nas jednak długi czas po więzieniach i niektórych z nas pod sąd wojenny oddano. Mówię o tem jak świadek naoczny, bo sam oprócz kilkumiesięcznego, ciężkiego więzienia i sądu wojennego a potem reformy, zostałem z Warszawy oddalony...“

Jakoż mimo instancji generała Bontempsa,

którego Bem był adjutantem, przeniesiono go do Kocka, gdzie oddany pod najściślejszy nadzór komendanta placu, pozostawał aż do roku 1825. Dopiero śmierć cara Aleksandra I i chwilowa konsternacya, jaka zapanowała wśród warszawskich sfer rządzących, dały mu pożądaną sposobność do zażądania dymisyi, po której otrzymaniu przeniósł się do Lwowa. Osiadłszy w tem mieście przy stryju swym, kanoniku katedralnym, Jakóbie, objął następnie zarząd majątków dziedzica Brodów, Franciszka Potockiego i zajmował się nader gorliwie badaniem kwestyi machin parowych, bardzo mało podówczas w Galicyi rozpowszechnionych.

Owocem tych studyów było dzieło *O machinach parowych*, którego tom pierwszy opuścił prasy drukarskie u Pillera w roku 1827. Miał to być przewodnik praktyczny dla mechaników krajowych, których brak już wówczas dawał się w tej prowincyi odczuwać, skutkiem czego musiano sprowadzać za drogie pieniądze robotników zagranicznych. W znanym mi tonie pierwszym rzeczonej pracy Bem daje ogólne wyobrażenie o maszynach parowych, o ciepliku, o powietrzu atmosferycznem, o wodzie, o parze, o opale, wreszcie o materiałach, używanych do budowy machin. Jasność i przystępność wykładu przedstawiają

główne zalety tej popularnej pracy, której niestety nie skończył nasz autor, pod wpływem wypadków politycznej natury. Że Bem nie zapominał o rozpoczętej publikacyi, do której większą widocznie przywiązywał wagę — dowodem list jego, pisany w sprawie wydawnictwa drugiego tomu do księcia Lubomirskiego, kuratora zakładu Ossolińskich we Lwowie, datowany z Paryża w dniu 19. listopada 1832 r.

Z księciem kuratorem pozostawał Bem w bliższych stosunkach już podczas swego pobytu we Lwowie, gdzie około restauracyi a raczej zupełnej przebudowy gmachu Zakładu Ossolińskich znakomite położył zasługi. Gmach ten — jak wiadomo — był ongi klasztorem Karmelitanek trzewiczkowych, po których kasacie w roku 1782, używany kolejno na pomieszczenie seminaryum łacińskiego obrządku, to znów piekarni wojskowej, spłonął w dniu czternastym maja 1812 roku. Ossoliński nabył później okopcone mury na publicznej licytacyi, lecz dopiero po jego zgonie, w lecie 1827 roku rozpoczęto gmach ten przebudowywać odpowiednio na pomieszczenie biblioteki. Zaproszony na naradę w sprawie rekonstrukcyi budynku zakładowego, zaofiarował się Bem z gotowością kierowania odnośnemi robotami — zupełnie bezinteresownie i na żądanie osób, składających komitet budowlany,

wygotował odnośne szkice i wyrachowania. Postępek ten zjednał Bemowi wyrazy uznania ze strony Wydziału Stanów Galicyjskich, który w akcie, podpisanym przez ówczesnego gubernatora Galicyi, księcia Lobkowicza, słauił jego „obywatelską gorliwość w służeńiu dobru publicznemu i usilną pracę“...

Z tych też czasów datują się dwa listy Bema, wystósowane do księcia Henryka Lubomirskiego, a zachowane w zbiorze autografów Zakładu Ossolińskich. Na poźółkłych kartach papieru widnieją następujące słowa, skreślone drobnym, niemal kobiecym charakterem:

„Jaśnie Oświecony Mości Książę!

Wasza Książęca Mość pozwoliła mi przyłożyć się memi słabemi siłami do tego, co nadal i dla kraju z pożytkiem i dla osób około tego pracujących prawdziwym będzie zaszczytem. Ja więc powinienbym dziękować Waszej Książęcej Mości za nastęrczoną mi sposobność poświęcenia prac moich dla dobra kraju, co zawsze było i zawsze będzie celem wszystkich usiłowań moich. Może przeto Wasza Książęca Mość rachować na wszystko, co tylko nieudolność moja wykonać dozwoli. Spodziewam się, iż ważniejsze plany, które sankcyi Waszej Książęcej Mości wymagać będą, do końca b. m. wykonane zostaną.

Racz przytem Wasza Książęca Mość pozwolić, abym tutaj złożył wyraz mego najwyższego i winnego poważania, z jakim jestem Waszej Książęcej Mości

najniższym sługą

Józef Bem.

We Lwowie dnia 13. maja 1828 r.“

W miesiąc później nastąpiła uroczystość położenia kamienia węgielnego pod gmach Zakładu i rozpoczęły się roboty pod kierownictwem Bema. Ale już z końcem lipca t. r., a zatem w parę tygodni po zainaugurowaniu publicznem prac budowlanych, pisze Bem do ks. kuratora, jak następuje:

„Jaśnie Oświecony Mości Książę!

Mam honor donieść Waszej Książęcej Mości, że roboty koło biblioteki już stanęły, bo tylko kilku ludzi robi, na których ja z mojej kieszeni 100 złotych dałem, a jak te wyjdą, roboty zupełnie ustaną, jeżeli Wasza Książęca Mość nie obmyśli funduszów, nim to wpłynie. czego się spodziewać mamy prawo. Niech Książę o tem pamiętać raczy, że niechętni nam chciwie sposobność tę uchwycą, ażeby prace i usiłowania nasze źle wystawić, bo już i teraz mówią, że tylko mało jest starania około dobra instytutu tego:

„Rozeszła się była wiadomość po Lwowie, że Dwór odmówił pomocy, którą Stany akordowały. Żeby się prawdy dowiedzieć, byłem wczoraj u pana Stuterheyma¹⁾, który mi powiedział, że w rzeczy samej odebrano odpowiedź, nie przychylającą się do wciągnięcia na ten rok 15.000 złotych do budżetu, dopóki sam cesarz w tej mierze rezolucyi nie da. Jemu albowiem rzecz tę przedstawiono. Mówił mi przytem, że cała rzecz na tem teraz zależy, ażeby Wasza Książęca Mość starał się w Wiedniu jaką pewną drogą o przyspieszenie tej rezolucyi, bez czego bardzo jeszcze długo na skutek czekać będziemy musieli.

„Pan Michalewicz²⁾ komunikował mi notatkę, obejmującą ceny cynku i blachy żelaznej rosyjskiej i oświadczył mi przytem pochlebne dla mnie ze strony Waszej Książęcej Mości wezwanie, ażebym mógł być w Przeworsku. Bardzo by mi było przyjemnie służyć Waszej Książęcej Mości, ale że teraz czasy robocze, to konie w gospodarstwie są potrzebne. Gdybym jednak miał jaką okazję, zawsze gotów będę służyć Waszej Książęcej Mości. Co do blach, jakiemi budowę naszą pokryć mamy, zrobiłem dokładne wyrachowanie i takowe przyłączam.

1) Alojzy Stuterheym, radzca dworu w gubernium lwowskiem.

2) Mikołaj Michalewicz, profesor uniwersytetu i zarządca gmachu zakładowego.

Racz przytem Wasza Książęca Mość przyjąć wyraz mego uszanowania, z jakim jestem Waszej Książęcej Mości najniższym sługą

Józef Bem.

We Lwowie, dnia 31. lipca r. 1827.“

Pismo powyższe wymaga pewnych komentarzy. Oto Stany galicyjskie uchwały na cele budowy Zakładu w roku 1827 sumę 15,000 złr. zrazu tytułem pożyczki, którą później zmieniono na darowiznę. Ponieważ jednak za twierdzenie tej uchwały przez Koronę wymagało dłuższego przeciągu czasu, przeto za staraniem kuratorji zezwolił gubernator, książę Lobkowicz, na tymczasową wypłatę sumy 2.000 złr. z funduszków Stanowych. Z uzyskanym w ten sposób groszem postępowała rekonstrukcyja gmachu dość szybkim krokiem, a zebrana w czerwcu 1828 roku komisya znawców, wyraziła się ponownie w słowach nader pochlebnych dla talentu i pracy Bema, który w najdrobniejszych szczegółach umiał się zastosować do wziętego za normę stylu i starał się przysposobić wewnętrzne urządzenie budowy dla celów bibliotecznych. Opóźniały ponieważ w roku następnym, 1829, postęp robót częste wyjazdy Bema do Brodów, zaś burza listopadowa uniosła naszego bohatera na długie lata z murów Lwiewo grodu.

Cyrkiel i miarę budowniczą zamienił Bem ponownie na oręż, dobyty w obronie Ojczyzny.

Na pierwszą wieść o wybuchu listopadowej rewolucyi pospieszył Bem do Warszawy, gdzie powierzono mu dowództwo jednej baterii artylerii konnej z stopniem majora. W morderczym boju pod Iganiami zdobył sobie Bem stopień podpułkownika, lecz dopiero w pamiętnej bitwie pod Ostrołęką męstwo jego w pełnym zabłysło blasku.

Było to w dniu 27. maja 1831 roku.

Zachodzące słońce krwawym blaskiem oświecało pokryte trupami i rannymi błonia Ostrołęki. Nad brzegami Narwy wrzała sroga walka. Potężne kolumny Dybicza sunęły przez most i groblę ku polskim korpusom, które wysiłone całodzienną bitwą, wystrzelawszy całą niemal amunicyą, z bagnetem w rękę ustępowały krok za krokiem, drogo sprzedając każdą piędź ziemi. Wódz carski, otoczony świętym sztabem, stanął na moście, by dokonać ostatecznego pogromu. Tymczasem Skrzynecki, który błędy, popełnione w charakterze naczelnego wodza, usiłował w tej potrzebie zmazać osobistą odwagą, starał się przynajmniej osłonić odwrót swych szyków.

— Piechota, jazda, artyleria, wszystko naprzód! wszystko w ogień! — woła Skrzynecki do swego otoczenia.

Rozbiegli się w różne strony adjutanci, pędząc, co koń wyskoczy. Uderzono w bębny wśród szeregów piechoty, zagrały trąbki jazdy. Przerzedzone zastępy nasze sformowały się w mgnieniu oka do ataku.

Nagle przed frontem gotowej do natarcia na nieprzyjaciela piechoty podnosi się obłok kurzu. Wyciągniętym pędząc galopem, wysunęła się na czoło naszej linii bojowej bateria jezdnej artylerii. Pędzi gdyby strzała ku rosyjskim szeregom, które zdumione tym ruchem, przerywają na chwilę ogień karabinowy.

Tak atakować może tylko jazda!

Konie przy działach dobywają ostatka sił, okrywają się pianą. Kanonierzy ćwiczą je bez litości, podążając za komendantem, który sady wprost ku gęstwinie rosyjskich bagnetów. Dobiegają już na strzał pistoletowy. Stanęli.

— Odprzodkuj! cel! pal! — ozwał się Bem do pierwszego plutonu baterii tonem spokojnym, gdyby na ćwiczeniach.

I w miarę, jak nadciągała bateria, stawały działa na pozycyi, obrzucając przeciwnika gradem kartaczów.

Rażeni z bliska, rzucają się żołdaci na ziemię, lub też w popłochu, łamiąc szeregi, spieszą ku mostowi, by pod zasłoną przydrożnych rowów i grobli szukać ocalenia, pod-

czas gdy bateria Bema grzmi bez przerwy, waląc ławą całe gromady uciekających.

Teraz dopiero ozwały się potężnym rykiem wszystkie działa rosyjskie, zarzucając swemi pociskami stanowisko przez Bema zajęte, lecz równocześnie nasza jazda ruszyła do szarży, wiedziona przez Dembińskiego.

Połowa ludzi i koni pozostała zaledwo pod komendą Bema, gdy uznał w końcu za stosowne cofnąć się na bezpieczniejsze stanowisko, z którego otworzył po chwili nie mniej morderczy ogień na wszystkie kolumny rosyjskie w półkole uszykowane. Działa jego drobne na oko, ziały nieustannie zniszczeniem, widoczne zdala czerwonymi swymi błyski wśród wieczornego mroku. Wreszcie noc ciemna poczęła rozpościerać nad walczącymi swe czarne skrzydła. Trzykrotną salwą żegna Bem dzień znikający i po trzykroć odpowiada mu Moskwa, rzucając granaty i kule palne, które gdyby meteory oświetlają na chwilę widownię walki, pogrążoną w ciemnościach. Ustępuje pierwszy z pola walki, świetny orszak Dybicza, za którego śladem pomykają rosyjskie zastępy, zostawiając plac boju w naszym ręku.

— Jedźmy teraz do Warszawy zagrzebać się w jej murach! — rzekł po skończonej bitwie Skrzynecki, lubujący się w pięknych senten-
cyach.

Na polach Ostrołęki mianowany pułkownikiem, otrzymał Bem niebawem dowództwo całej artylerii naszego wojska i niejednokrotnie w łonie rządu narodowego noszono się z myślą zaofiarowania mu buławy głównodowodzącego. Zamianowany generałem artylerii, miał sobie powierzona obronę pierwszej linii szanśców warszawskich, lecz brak wspólnego działania wśród generałów, dowodzących poszczególnymi oddziałami, broniącymi stolicy, brak dostatecznych przygotowań do odparcia ataku nieprzyjacielskiego i wynikłe stąd zamieszanie podczas walki, sprawiły, iż nie zużytkowano wszystkich sił, jakie miano pod ręką dla odwrócenia katastrofy. Dokładny opis swych czynności w dniu szóstym września 1831 roku podał Bem w wymienionej już poprzednio pracy *O powstaniu narodowem w Polsce* i relacją swą zakończył temi słowy: „Śmiało powiedzieć mogę, że cała obrona Warszawy dnia pierwszego ograniczała się na garnizonach Woli i dwóch innych szanśców, które miały w ogóle dwadzieścia kilką sztuk armat i parę tysięcy ludu i na czterdzieści ośm sztuk armat artylerii rezerwowej z ich asekuracją — a jednak Moskale ataku swego poza Wisłę posunąć nie śmieli. Cóżby to było, gdybyśmy byli wystawili zaraz dnia pierwszego sto kilkadziesiąt armat i trzydzieści do czterdziestu

tysięcy ludu, co z łatwością wykonać można było. Nie wątpię, że Wola nie byłaby wzięta i że nieprzyjaciół, przymuszony do cofnięcia się, byłby drugiego dnia o ataku nie myślał...“

Mimo upadku Woli, Bem zaliczał się do tej szczupłej garstki generałów, którzy nie chcieli słyszeć o kapitulacyi Warszawy, a nawet gdy przyszło mu wraz z całą armią opuścić stolicę, nie stracił nadziei w pomyślny, końcowy rezultat boju. On też na pamiętnej naradzie wojennej, odbytej w Słupnie, głosował wraz z Pacem, Małachowskim, Wojczyńskim, Umińskim i Ziemięckim za przejściem na lewy brzeg Wisły, gdzie walka miała być ponowioną. Niestety, większość zgromadzonych generałów i pułkowników sprzeciwiła się tej śmiałej myśli, ratującej przynajmniej honor narodowego oręża i w dniu piątym października złożono broń wobec Prusaków w Brodnicy...

Alę i w smutnych dniach niewoli nie opuścił Bem swych towarzyszków broni. Zaraz po rozwiązaniu naszej armii objął dowództwo nad wszystkimi wojskowymi polskimi, bez różnicy stopnia, udającymi się do Francyi. Podzielił ogół wychodźców na kolumny i dla każdej wyznaczył komendantów, którzy mieli tem trudniejsze zadanie, ile że rządy rosyjski i pruski dokładały wszelkich starań, aby jak najmniejsza liczba szeregowych i podoficerów dostała

się za granicę. Ludność pruska, nienawistna Polakom, szła na każdym kroku w pomoc rządowi swemu, który przejmując listy i pieniądze, nasyłał między wiarusów swych szpiegów i z ich pomocą podawał w podejrzenie osobistości najzacniejsze, cieszące się zaufaniem wśród dawnych podkomendnych. Wrogim tym zakusom przeciwstawił Bem tajność organizacyi przez niego zarządzanej, polegającej na tem, iż ogół wychodźców nie wiedział, który generał stoi na czele, gdzie przebywa i skąd tak regularnie przesyła swe rozkazy. Tej to żelaznej, wojskowej karności przypisać należy heroiczny opór naszych żołnierzy pod Fischau, (dnia 28 stycznia 1832 roku), gdzie siłą bagnetów chciano ich zmusić do powrotu do Rosyi. Bezbronni nie ulegli, choć dziewiętnaście trupów i rannych zaległo miejsce spotkania.

Rzadko jednak władze pruskie uciekały się do gwałtów. Wolały raczej działać podstępem, dręczyć formalnościami wychodźców, wobec których nierzadko urzędnicy udawali nieprzyjaciół caratu, łudząc szeregowców obietnicą amnestyi, odbierając im paszporty pod pozorem, że się nie zgadzają z opisem osoby. Stawiano się przeto odłączać oficerów od żołnierzy, dając pierwszym podwody, zaprzężone końmi, drugim maże wołowe a z opuszczonymi przez

starszyznę wiarusami postępowano z największą dowolnością. Kto się odłączył od kolumny, przepadał najczęściej bez wieści; porwany przez żandarmów, wydawany bywał bez litości granicznym władzom rosyjskim. To też nie dziw, że ci biedacy z radością pożegnali niegościnną pruską ziemię i że ów uwieczniony przez Pola, siwowłosa bombardyer Ćwik, przykląkwszy przy białozielonych saskich słupach, całował ziemię i wołał, grożąc Prusakom pięścią: Chybaby Boga nie było na niebie i tej Matki Boskiej Częstochowskiej w Jasnogórze, żebym ja na tobie, Prusaku, nie odbił tej naszej krzywdy, tych śledzi i podłych kartofli!...

W tych prostych słowach osiwiatego w boju żołnierza mieściła się wymowna skarga przeciw pozbawionej wszelkich uczuć szlachetnych ludności, która nie zdołała uszanować smutnej doli zwyciężonych.

Saksonia i południowe Niemcy okazały się gościnniejszemi dla wychodźców. W każdym niemal miasteczku istniały tam związane już podczas toczącej się walki komitety *Przyjaciół Polaków*. Zbierały one pierwiastkowo szarpie i bandaże dla naszych rannych, lecz w naiwności swej oddawały zebrane zapasy do rąk rządowych, dzięki czemu ofiary te znachodziły się z reguły w szpitalach rosyjskich... Po wojnie *Przyjaciele Polaków* zbierali pieniądze

datki, odzież i bieliznę, tyle potrzebne dla ciągnącej do Francyi Polonii, zaś Bem utrzymywał żywą korespondencyą z wszystkimi komitetami, rozsianymi po całym kraju. Był on wówczas najpopularniejszym w Niemczech z wszystkich naszych wodzów i korzystając z swej więtości, wpływał na dzienniki w duchu, korzystnym dla sprawy polskiej. Po raz pierwszy od czasu kongresu wiedeńskiego przemówiło dziennikarstwo niemieckie otwarcie i swobodnie w kwestyi naszej, stawiając pod pręgierzem opinii publicznej samowładcze rządy księcia Konstantego. Akcyą publicystyczną zajmował się Bem osobiście i okazał się równie dzielny w piórze, jak w orężu. Jego to pióra był opis wypadków ostatniej kampanii, podany przez *Allgemeine Zeitung*, (1831 nr. 337—340). Oficerowie artylerji: Bansemer i Janusz ks. Czetwertyński tudzież Mikucki i Wincenty Pol, pomocnymi byli jenerałowi w tej czynności, wymagającej niestrudzonej pracy, taktu i przeczorności, gdyż przeprowadzenie ośmiu tysięcy ludzi, pozbawionych w przeważnej części funduszów do życia, przez całe środkowe Niemcy, nie było rzeczą łatwą do skutecznienia.

W czasie przemarszu wychodźców przez Niemcy, bawił Bem w Altenburgu w najściślejszem incognito. Książę panujący wiedział o jego pobycie i zaręczył mu bezpieczeństwo

jego osoby na osobnem posłuchaniu. Pobyt wszakże jenerała w tej miejscowości był trzymany w takiej tajemnicy, że ani w Dreźnie, ani w Lipsku nie wiadano zgola, w których stronach Bem przebywa. Jenerał pisał lub rysował po całych dniach, wieczorem wychodził na przechadzkę, szedł spać wcześnie i wstawał o świcie.

Z Altenburga udał się Bem do Lipska, zkąd w marcu 1832 roku wyjechał do Paryża. Przed odjazdem wystosował do księcia Henryka Lubomirskiego list, zachowany w zbiorze autografów biblioteki Ossolińskich. Pismo to, skreślone w języku francuskim, opiewa w dosłownym przekładzie, jak następuje:

Lipsk, dnia 30 stycznia 1832 r.

Mości Książę!

Dowiedziałem się z nadzwyczajną przyjemnością, że książę bawisz rzeczywiście we Lwowie, gdyż znając uczucia Pańskie tyle szlachetne i patryotyczne, możemy liczyć na Pańską gorliwość w poparciu u Dworu sprawy świętej ocalenia resztek naszego wojska.

Francya nie chce niczego dostarczyć podoficerom i żołnierzom, którzy dotychczas nie ruszyli się jeszcze z miejsca, ale zamierza mieć o nich staranie, skoro przybędą na jej granicę. Trzeba więc, by wyruszyli w nasze

ślady i przybyli tam, gdzie będą mogli zebrać się na nowo, sformować i oczekiwać lepszych czasów, by służyć ojczyźnie i ziomkom.

Liczę zawsze na dziesięć tysięcy ludzi, na których utrzymanie podczas drogi do Francyi potrzeba około miliona franków. My mamy na ten cel około 100.000 franków z różnych stron, komitet francuski obiecuje również 100.000 franków, lecz reszty nam brak. Prawda, że przejście przez Niemcy, poczynszy od Saksonii, nie będzie kosztowne i że dobrowola ofiarność mieszkańców pokryje przynajmniej połowę kosztów. Nie potrzebaby zatem w rzeczywistości więcej, jak pięć do sześciu kroć sto tysięcy franków, oprócz tego, co posiadamy. Gdyby Galicya mogła się czemś przyczynić, zasłużyłaby się wielce ojczyźnie. Wszystko, coby mogło być tu przesłane, winno być adresowane do pani Potockiej z Działyńskich do Drezna, przez bank p. Kaskel lub p. Baussange.

Nasz klub patryotyczny, który wyrzucił nam tyle złego podczas walki o niepodległość, nie przestaje wcale w podobny sposób postępować. Zbrali się w Paryżu tak jak w Warszawie i zaczęli od objawienia chęci obalenia istniejącego rządu we Francyi. Traktowałem ich jak uliczników i — jak mi się zdaje — otworzyłem oczy wielu osobom. Zastrzegając

się przeciw wszystkiemu, coby mogli uczynić, starałem się dać do zrozumienia tym, z którymi miałem zaszczyt rozmawiać, iż my szukamy we Francyi schronienia i opieki i że jesteśmy bardzo dalecy od mieszania się w sprawy wewnętrzne kraju. Jednakowoż gdyby trzeba było uczynić cośkolwiek dla Francyi, to jesteśmy gotowi bronić jej wobec obcych.

Obecnie osiedliłem się w Lipsku i wszystkie listy dochodzą mię pod adresem p. dra Schelwitz.

Wyrażając uczucia najgłębszego szacunku i poważania, mam zaszczyt mości księżę pozostać jego najuniżeńszym i powolnym sługą.

J. Bem.

Za przybyciem do Paryża zastał Bem w łonie polskiego wychodźstwa straszliwe rozterki i waśnie. Jakby obrazki w kalejdoskopie zmieniały się ciała, reprezentujące rzekomo ogół polskiej emigracyi. Zawiązany w listopadzie 1831 roku komitet Bonawentury Niemojowskiego należał już do przeszłości, podobnie jak komitet Lelewela, zwołany w grudniu t. r., przeciw któremu założono w marcu 1832 roku Towarzystwo demokratyczne polskie. Dla sparaliżowania znów Towarzystwa powstała w maju t. r. Rada centralna, z samych jenerałów złożona, lecz nie uzyskawszy sankcyi

rzędu francuskiego, rozwiązała się, ustępując miejsca komitetowi Dwernickiego. Bem pozostał obcym wszystkim tym związkom i robotom koteryjnym, hałaśliwym, namiętnym, a nie wiodącym do żadnego pozytywnego rezultatu.

Pragnąc ująć niesforny tłum emigrantów w karby wojskowej dyscypliny, rozpoczął w lipcu 1833 roku werbunek ochotników do legii zagranicznej. Zgłosiło się zaledwie kilkunastu ochotników. Niezrażony tem niepowodzeniem, udał się Bem w maju roku następnego do Portugalii, gdzie toczyła się podówczas walka między Don Pedrem, księciem Braganca, opiekunem małoletniej Donny Maryi, a Don Miguelem. Pierwszy reprezentował kierunek konstytucyjny, drugi absolutny. W nadziei, że dawni jego towarzysze broni z chęcią walczyć będą za zasady konstytucyjne, zawarł Bem w dniu dziewiętnastym maja 1833 roku w Oporto umowę z markizem de Loulè, portugalskim ministrem-sekretarzem stanu, podejmując się uformowania legionu królowej Maryi II. Legion liczyć miał co najmniej 1694 szeregowców i podoficerów z mundurem narodowym o portugalskiej kokardzie. Prócz pułku piechoty liniowej, w skład projektowanego oddziału wchodzić miały: batalion strzelców litewskich, batalion strzelców wyborczych, (złożony z nadliczbowych oficerów), trzy dywi-

zyony kawaleryi, dwie brygady artyleryi i jedna kompania inżynierii. Korpus oficerski miał się składać wyłącznie z Polaków i generał polski stać miał na czele legionu. Polska komenda, żołd i rangi na równi z wojskiem krajowem, zaopatrzenie rannych i sierót, pozostałych po poległych, według przepisów, obowiązujących w armii portugalskiej.

Wszystkie te przywileje miały być zachętą dla ochotników polskich do zaciągania się w szeregi, walczące za sprawę Donny Maryi. Nadto przyrzekano Polakom dwadzieścia cztery miejsca w szkole marynarskiej, po której ukończeniu mieli uzyskać posady w służbie morskiej, zaś artykuł dziesiąty rzeczonej konwencji opiewał jak następuje: „Po przywróceniu prawych rządów Portugalii, legia pozostać będzie mogła w kraju tak długo, jak sama zechce, w tym samym składzie i zawsze jako korpus oddzielny. Gdyby zaś opuścić chciała Portugalie, rząd portugalski obowiązuje się dostarczyć osobom, składającym tę legię, fundusze, potrzebne do udania się do takiego portu, jaki rada, złożona z generałów i dowódców korpusów legii wyznaczy. Jednakowoż oddalenie się legii nie może mieć miejsca przed wzięciem Lizbony. Oświadcza się przysięgą, wyraźnie, że po opuszczeniu Portugalii legia nic nadal żądać nie może pod żadnym

pozorem od rządu portugalskiego“. Ostateczny termin do formowania legii, oznaczony został na koniec lipca t. r., a następnie przedłużono takowy do ostatnich dni sierpnia.

Po zawarciu konwencyi, której ratyfikacya ze strony Don Pedra nastąpiła w dniu dwudziestym czwartym maja t. r., powrócił Bem do Paryża, gdzie w dniu dwudziestym czwartym czerwca 1833 r. wydał cztery proklamacye: do wojskowych polskich, do oficerów artyleryi, inżynieryi i sztabu głównego, do podoficerów i żołnierzy polskich, do młodzieży litewskiej, wreszcie do ochotników legii polskich. Treścią wspólną wszystkich tych odezw była zachęta do zaciągania się w szeregi legionu. „Emigracya, reprezentując naród“ — czytano w pierwszej z rzeczonych odezw — „w samych zawadach nawet szukać powinna nowej dzielności, aby jej powołanie wywalczenia ojczyzny nie było uszkodzone. Reprezentanci narodu, odpowiadając powołaniu swemu, czuwać będą nad przyszłymi losami Polski i wystąpią, jak tego potrzebę uznają. Tymczasem niech uczeni i pisarze działają na Europę piśmem i drukiem, opowiadając niedolę naszą, oświecając narody o potrzebie przywrócenia Polski całej, wolnej i niepodległej, jeżeli się od najazdów barbarzyńców pragną zasłonić. Młodzież, sposobiąca się do usług cywilnych

kraju swego, niech korzysta we Francyi ze sposobności doskonalenia się w naukach. Wojska zaś polskiego jest powinnością formować reprezentacyę zbrojną, gdziekolwiek sposobność tego dozwoli i gromadzać się razem wojować, gdzie tylko o wolność i niepodległość rzecz idzie, aby tym sposobem i sprawę wolności w Europie upowszechniać i młodzieży, mającej powołanie do wojskowości, otwierać pole do rozwijania swoich talentów i doskonalenia się w tym stanowczym dla losów Polski zawodzie. A kiedy walęczność i chlubne czyny wojowników polskich powiększać będą sympatyę narodów, wtedy słowa reprezentantów i pisarzy naszych, ostrzem żelaza popierane, tem dzielniejszy odgłos mieć będą“...

Proklamacyę Bema nie odniosły wszakże pożądanego skutku, gdyż w tydzień po ich ogłoszeniu, (w dniu 1 lipca t. r.) pojawiły się: odezwa „komitetu narodowego“ do rodaków we Francyi, list otwarty tegoż komitetu do Bema, wreszcie oświadczenie Antoniego Ostrowskiego, senatora-wojewody, generała. Wszystkie te pisma zawierały protest przeciw oddalaniu się wychodźstwa polskiego z granic Francyi, a zarazem zarzucały Bemowi brak upoważnienia ze strony emigracyi do zawierania konwencji z Don Pedrem. „W imię tej ukochanej ojczyzny zaklinamy was bracia — wołał

komitet narodowy do rodaków — „zachowajmy dla niej te ręce, które ją podźwignąć mogą, te piersi, które ją zasłaniać powinny. Oddalcie tych wszystkich, którzy was kusić przyjdą, bo albo to będą nieprzyjaciele nasi, albo ludzie, którzy nie wiedzą, co czynią“.

Pełną godności na te napuszone rekryminacye była odpowiedź Bema, który wskazując na śmieszność zarzutów, jakoby formacją legionów chciał zabić istnienie emigracyi, tłumaczył równocześnie, że upoważnienia żadnego nie potrzebował, gdyż nie zawierał umowy w imieniu wychodźstwa naszego. „Zresztą każdemu wolno jest mówić“ — konkludował generał — „co za użyteczne dla siebie uważa, ale o tem pamiętaćbyśmy powinni, że któkolwiek dobrym i zbawiennym celom i czynnościom na przeszkodzie stawia, kiedyś przed trybunałem narodu sprawę zdać będzie musiał“... Spokojna odprawa Bema nie zdołała przekonać ogółu wychodźców, podburzanego przeciw niemu przez niespokojne duchy, a gdy generał w połowie lipca pojawił się w Bourges, wydała rada tamtejszego „zakładu Polaków“, pismo, ostrzegające go, by zamiaru swego zaniechał, „jako uwłaczającego charakterowi emigracyi i wierze Polaka!“... Wysłannicy Bema doznawali też wszędzie jak najgorszego przyjęcia, wobec czego generał zamierzył osobistym

swym wpływem zwalczać uprzedzenie, panujące przeciw portugalskim legionom. Zaledwo jednak z Bourges przybył do Mehun, gdy jeden z wychodźców targnął się na jego życie...

Wówczas to pojawił się pamiętny manifest księcia Adama Czartoryskiego, noszący datę 21 lipca 1833 roku, w którym patriarcha ten wychodźstwa polskiego uznał „za obowiązek prawego Polaka oświadczyć szczerze i rozmyślnie, iż formacyę legii polskiej w ogólności a w tej chwili legii polskiej do Portugalii uważa za mogącą być korzystną i chlubną dla sprawy polskiej, równie jak prowadzącą do zachowania w porządku i zbrojnej gotowości pewnej części emigracyi coraz mocniej w niniejszem położeniu narażającej się na dysolucyę moralną i stratę nabytej sławy“... Przy tej sposobności scharakteryzował książę zamach na życie Bema „jako dowód oplakany zapamiętałości, natchnionej obcym chyba a zapewne nie polskim duchem“ ..

Oświadczenie to wszakże nie przeszkodziło dalszym, wrogim Bemowi manifestacyom. Członkowie zakładu w Bourges wyrazili publiczną „pogardę“ dla Czartoryskiego i Bema, zaś zakład w Chateauxroux ogłosił generała słuzalcem tyranów...

Legia portugalska nie przysłała do skutku. Wyleczywszy się po dłuższej słabości z otrzy-

manej rany, usunął się Bem w zupełności z widowni walk stronnicych, szalejących bezustannie wśród wychodźstwa. Zajmował się przez czas dłuższy nader żywo tak zwaną metodą polską, wprowadzoną świeżo do nauki historyi, jeografii, chronologii, oraz do nauki obcych języków przez Antoniego Jaźwińskiego. Metoda Jaźwińskiego, obok niezaprzeczonych zalet, posiadała tę ujemną stronę, iż była zbyt mechaniczną, polegającą jedynie na wykształceniu pamięci. Na razie jednak cieszyła się pewnym rozgłosem, który po części był też zasługą Bema, gdyż z pod jego pióra wyszły w owym czasie: *Atlas Chronologiczny*, oraz *Wykład ogólny metody mnemonicznej polskiej*, wydane w roku 1839 w Paryżu. Studya naukowe i podróże, odbywane po Francyi, Hiszpanii, Portugalii, Belgii i Holandyi, zatrudniały generała i w latach następnych. Jako turysta badał Bem nie tylko organizacyą armii państw poszczególnych, lecz zajmowały go nadto stosunki polityczne i społeczne, w rozmaitych krajach istniejące.

„Znaliśmy go tutaj, tego strasznego człowieka“ — pisze o nim Michelet w swej legendzie Kościuszkowskiej — „który bez oręża rozpędzał całe szwadrony i raził je wzrokiem, wobec którego topniały kule i umykały kartacze, znaliśmy generała Bema. Tu zdał się

nam człowiekiem słodkim, dobrym. Zajmował się metodą, którą miał zastosować do nauki ubogich włościan polskich. Wojna była jego żywiołem. Miał ją we krwi. Tam wśród gradu kul stawał się ożywionym, wesołym, jowialnym. Niebezpieczeństwo pobudzało go do wesołości“...

Pod względem historycznym najważniejszym jest dziełko Bema *O powstaniu narodowem w Polsce*, pisane w latach 1846—1848 w Paryżu i w Londynie, zaopatrzone tą wielce wymowną dedykacją: „Pisemko niniejsze poleca się wszystkim dobrym Polakom, co dla widoków lub nienawiści osobistych nie poświęcą nigdy interesów kraju, co swojej wziętości na szarpaniu dobrej sławy drugich, ani na fałszowaniu ich zdań i myśli nie gruntują, co w wojnie domowej pomocy nie szukają, ale co są gotowi ponieść w każdej chwili na ołtarz Ojczyzny egzystencję swoją byle do odrodzenia Polski się przyczynić“...

Całość dzieła składa się z trzech części. W dwóch pierwszych, ogólnej treści, omawia autor warunki, w jakich powstanie pomyślnie rozwinąć się może. Uwłaszczenie włościan i przyznanie najwyższej władzy ostatniemu sejmowi narodowemu, tworzą główne podstawy wywodów Bema o sztuce wojennej, o partyzantce, o powstaniach miejscowych i t. d.

Wielce charakterystycznym jest zdanie doświadczonego żołnierza o wodzach. „Wodzem — pisze Bem — trzeba się rodzić tak jak się ludzie rodzą malarzami lub muzykami. Każdy człowiek na wodza od natury usposobiony nie potrzebuje do rozwinięcia swego talentu jak tylko sposobności. Komu zaś nieba nie udzieliły zdolności wojennych, temu żadna uauka talentu tego nie nada. Ani wiek, ani nauka nic tutaj nie stanowią“.

W części drugiej swego dzieła podaje Bem rozmaite wskazówki, dotyczące wewnętrznej organizacyi powstańczej, przyczem w rozdziale zatytułowanym „Młodszy oficerowie“ nadmienia, że każdy syn obywatelski, przyprawdzający do powstania dziesięciu konnych i w broń palną zaopatrzonych ochotników, winien otrzymać stopień porucznika, zaś dostawiający pięćdziesięciu ludzi stopień kapitana. Zasadę tę z pewnemi modyfikacyami zastosował Bem w rewolucyi wiedeńskiej 1848 r.

Trzecią część rozprawy poświęcił Bem, jak wiadomo, opisowi kampanii 1831 roku, dochodząc do tego smutnego rezultatu, że nie sejm, nie rząd, nie kluby patryotyczne, ale nasi wodzowie naczelni zabili powstanie... Oświadcza się przeto przeciw mianowaniu naczelnych wodzów, a zarazem przestrzega przed powoływaniem na komendantów znaczniejszych

oddziałów oficerów zagranicznych, nie znających ani języka, ani ducha wojska narodowego. Wolny od wszelkich osobistych wycieczek opis kampanii trzydziestego i trzydziestego pierwszego roku, mimo bezwzględnych sądów, jakie Bem wydaje o mniej fortunnych jenerałach, cennym pozostanie przyczynkiem do historii tej wojny.

W chwili, gdy autor kończył swą pracę nad Tamizą, zajaśniała już jutrzienka swobody dla ludów Europy środkowej. Z Londynu powrócił Bem do Paryża, lecz dopiero w sierpniu wyjechał do kraju. W dniu 21 sierpnia przybył do Lwowa i zaraz też udał się do komendanta tamtejszej gwardyi narodowej, Wybranowskiego, z oświadczeniem tej treści, iż jeżeli tak zwana rada administracyjna gwardyi, stojąca na czele tej instytucyi, zreorganizuje się w ten sposób, iż w skład jej wejdą osobistości przez niego i Wybranowskiego wskazane i jeżeli ta rada ujmie ster moralny spraw krajowych w swe ręce, wówczas gwardya narodowa w Galicyi otrzyma 100.000 sztuk broni z Francyi, oraz 200.000 franków gotówką.

Wybranowski, człowiek prawy, żołnierz wzorowy, który jeszcze w roku 1809 rozpoczynał zawód wojskowy, był zwolennikiem dróg legalnych. Zwrócił przeto uwagę jenerała na to, że nabytek tak znaczny broni i pieniędzy

byłby wprowadzie dla gwardyi wielce pożądanym, lecz że spełnienie warunków, od jakich zależało, przedstawiało poważne niebezpieczeństwo, zwłaszcza wobec wichrzeń świętojurskiej partyi ruskiej i wrogiej postawy ludu wiejskiego. Bem, lubo zdawał się zgadzać z wywodami Wybranowskiego, mimo to rozpowszechniał myśl swoją w kołach prywatnych i w tym też duchu wystosował do rady administracyjnej gwardyi w dniu 28 sierpnia piśmienny wniosek, dotyczący sprowadzenia broni jednolitego systemu dla wszystkich oddziałów gwardyi w kraju z fabryk zagranicznych.

Projekt ten o tyle był racjonalny, że z wyjątkiem gwardyi lwowskiej, uzbrojonej w odwieczne karabiny skałkowe, dostarczone z magazynów rządowych, gwardye prowincjonalne pod względem uzbrojenia przypominały polspolite ruszenie. Mimo to wszakże wniosek jenerała nie doczekał się urzeczywistnienia.

Bem nie przyjął żadnego stopnia w szeregach gwardyi lwowskiej, lecz zaciągnął się jako szeregowiec do jedenastej kompanii pieszej i niejednokrotnie przedstawiał Wybranowskiemu plan reorganizacyi rady gwardyi, z pomocą której spodziewał się korzystnie rozwinąć sztandar powstania. Agitował nawet w tym duchu wśród młodzieży, ale genialny taktyk mniej zdolnym był spiskowcem. Nie-

ostrożnie wydana odezwa politycznej treści zwróciła na Bema uwagę władz cywilnych i wojskowych. Policya śledziła go na każdym kroku, skutkiem czego generał, widząc, iż teren lwowski nie sprzyja jego zamiarom, na przedstawienie Wybranowskiego i innych osób, przewidujących rychły powrót reakcyi, porzucił Galicyę. Celem jego podróży były Węgry, bijące się o niepodległość. Im postanowił poświęcić swe usługi, pierwotnie w charakterze pośrednika. Jako wyznawca polityki słowiańskiej, uprawianej w ostatnich latach przez Czartoryskich, marzył nasz wojownik o pogodzeniu interesów polskich, słowiańskich i węgierskich. Dla myśli swej zdołał nawet pozyskać w Galicyi grono wpływowych osobistości, na których czele stali: ks. Władysław Sanguszko, Jerzy ks. Lubomirski, Adam hr. Potocki i na wyjeździe ze Lwowa w dniu 29 września 1848 r. skreślił do hr. Z. list następujący :

„Węgrzy, z którymi Polska od niepamiętnych czasów w przyjaznych była stosunkach, znajdują się snąć w położeniu bardzo krytycznem. Kroaci, tudzież inni Słowianie, którzy od kilku wieków z nimi są połączeni, podburzeni dzisiaj przez Niemców, a nawet przez Moskali, powstali przeciw nim. Wojna domowa wzmaga się groźnie, my tylko Polacy mo-

żemy poważnionych pogodzić, nakłaniając Madziarów do zapewnienia Słowianom wszelkich swobód konstytucyjnych, a tych przekonywując, że dalszy ścisły związek z Madziarami jest dla nich najkorzystniejszy.

„Do tej wielkiej misyi namówilem syna J. W. Pana Dobrodzieja. Książę Wł. Sangu-szko, ks. Jerzy Lubomirski i kilku innych najznakomitszych deputatów naszych należeć do niej będzie. Jedziemy na Tarnów i Wiedeń, gdzie zebrawszy się, ułożymy plan działań naszych, a stamtąd do Pesztu udamy się. Formacya legii polsko-słowiańskiej, do której cała emigracya się zaciągnie, pozwoli nam utworzyć w Węgrzech hufiec zbrojny, który naszej interwencyi powagi doda, a który dla przyszłej armii polskiej zawiązkiem się stanie“.

Jak więc z osnowy tego pisma wynika, zamierzał Bem przy pomocy swych możliwych przyjaciół stworzyć legion polsko-słowiański, którego formacya miałaby nastąpić prawdopodobnie gdzieś wśród Słowian, zamieszkałych w krajach korony św. Szczepana. Zastęp ten wystąpiłby z bronią w rękę jako pośrednik między Węgrami a Kroatami, by później, być może, z pomocą pojednanych uderzyć na Rosyą. Plan ten wydać się musi dzisiejszym badaczom historii dziwnie fantastycznym, mglistym. W ówczesnej atoli dobie, gdy z takim

zapalem rozprawiano o braterstwie ludów i o wspólności interesów słowiańskich, myśl Bema nie miała charakteru mrzonki, wysnutej z wyobraźni starego żołnierza na tułaczce. Podzielali ją zresztą ludzie tak obeznani z sprawami publicznymi naszego społeczeństwa, jak Lubomirski, Potocki, Sanguszek. Smutna rzeczywistość pokrzyżowała najzupełniej plany Bema. Człowiek strzela, Bóg kule nosi — powiada nasze stare przysłowie.

Za przyjazdem do stolicy nad modrym Dunajem, przekonał się Bem naocznie, iż jako Polak, jako żołnierz, walczący do tej pory pod sztandarem wolności, nie mógł stanąć po stronie Słowian, którzy zarówno w krajach dziedzicznych monarchii, jak i w Węgrzech, stali się w przeważnej części powolnem narzędziem w ręku reakcyi, dążącej już jawnie i otwarcie do odebrania swobód marcowych, ludowi nadanych. Manifest cesarski, rozwiązujący sejm węgierski i mianujący Jelączyca komisarzem królewskim w krajach korony św. Szczepana, nie pozostawiał już żadnych wątpliwości co do intencji kamarylli na przyszłość. Szlachetny przyjaciel Słowiańszczyzny, książę Jerzy Lubomirski, w przystępie rozpaczliwego szału, chciał sobie odebrać życie w biurze prezydyalnem parlamentu i tylko prezydentowi Smolce zawdzięczał ocalenie. W mieście

rozeszła się pogłoska o zamachu na życie Smolki, któremu udało się wyprawić niepostrzeżenie nieszczęśliwego księcia z gmachu parlamentu do mieszkania Adama hr. Potockiego, skąd go następnie odwieziono do prywatnego zakładu dla obłąkanych w Hietzing.

Smutny ten wypadek nastąpił wieczorem dnia dwunastego października, zaś w dwie doby później, zgłosił się Bem u naczelnego komendanta gwardyi narodowej wiedeńskiej, Messenhausera, któremu zaofiarował swe usługi. Tegoż dnia pojawiły się na ulicach Wiednia plakaty, zawierające ogłoszenie, iż znany zaszczytnie jenerał Bem obejmie kierunek działań strategicznych obok Messenhausera. Ponieważ jednak szerszy ogół ludności stołecznej nie znał jenerała, przeto rozlepiono w tydzień później ponowne ogłoszenia na rogach ulic. Na arkuszach formatu in folio widniało wypisane w półkolu nazwisko Józefa Bema, poczem następowało krótkie wyszczególnienie bitew, w których jenerał walczył i zasług, jakie położył w bojach o wolność. Od chwili, gdy Bem zajął swe stanowisko w komendzie gwardyi narodowej, rozpoczęły się dopiero poważne przygotowania do obrony stolicy wobec zagrażającego jej obleżenia przez wojska rządowe, gdyż ani Messenhauser, do niedawna porucznik kwaterującego we Lwowie pułku

piechoty „Deutschmeister“, ani też tem bardziej towarzyszył jego Fenneberg, nie mieli dość dokładnego wyobrażenia o strategii. Bem zajmawszy kwaterę w Belwederze, tam też założył obóz dla gwardyi ruchomej i w przeciągu kilku dni postawił stolicę na stopie wojennej. Dyslokacya dział i poszczególnych oddziałów gwardyi jego była dziełem, podobnie jak organizacya rezerwy. Szczyt kopuły Belwederu służył jenerałowi jako obserwatorium. W pracy był on nieustrudzonym. Sypiał co najwyżej trzy godziny na dobę i zaniedbywał nawet przewiązywania swych otwartych ran, która to czynność wymagała godzinę czasu. Gdy zwracano jego uwagę na szczupłość sił ludowych, dodawał Bem z niezachwianą pewnością siebie: Gdy zechcemy, będziemy silnymi...

Ten spokojny, stanowczy ton doświadczonego wojownik przebija się w odezwie Bema do Wiedeńczyków, ogłoszonej w dniu 20 października t. r. „Reakcyjne zakusy gabinetu“ — słowa odezwy — „wywołały bój o wolność w stolicy monarchii. Jako członek galicyjskiej gwardyi narodowej żywię najszczerszą wolę popierania konstytucyi państwowej oraz pracy izby ustawodawczej. Dlatego też z radością przyjąłem polecenie poprowadzenia gwardyi narodowej do boju, jeżeli tego zajdzie potrzeba. Pierwszym mym krokiem w tej zaszczytnej

misji było poczynienie zarządzeń, mających na celu oszczędzanie — o ile możliwości — czasu i życia ojców rodzin. Podział gwardyi narodowej na stałą i ruchomą okazał się pod tym względem najodpowiedniejszym środkiem. Ojcowie rodzin, jako członkowie gwardyi stałej, będą mieli za zadanie utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa w mieście, podczas gdy młodzież i mężczyźni nieżonaci pełnić będą służbę zewnętrzną, mającą na celu zwalczanie wojsk, które podniosły rokosz przeciw sejmowi. Jako żołnierz chętnie stanę na ich czele. Dlatego też wzywam wszystkich, którzy chcą służyć w szeregach gwardyi ruchomej, by zgłosili się natychmiast w mej głównej kwaterze, w górnym Belwederze, celem rozpoczęcia służby“...

Do rzeczonej proklamacyi dołączył Bem zawiadomienie, że chcący otrzymać w gwardyi stopień podporucznika winien zebrać 50 ochotników, stopień kapitana 100 ludzi, majora 250, podpułkownika 450 szeregowców. Skutkiem tego zarządzenia, kandydaci do szlif oficerskich poruszali niebo i ziemię, byle tylko zgromadzić jak największą ilość ochotników dla gwardyi. Próżność w pewnych wypadkach staje się skutecznym bodźcem do energicznego działania w sprawach publicznych...

Artylerya gwardyi ruchomej składała się

z dziesięciu baterii, pozostających pod bezpośredniem dowództwem Edwarda Jełowickiego, zamianowanego przez Bema pułkownikiem. Jełowicki, ziemianin i marszałek ziemi podolskiej przed rewolucją listopadową, walczył w roku 1831 zrazu na czele własnego oddziału, a następnie pod rozkazami Szeptyckiego. Po upadku powstania poszedł na turlackę do Francyi i w wyprawie algierskiej zdobył krzyż legii honorowej. Pod względem doświadczenia żołnierskiego nie dorównywał Jełowickiemu poeta i więzień stanu z roku 1846, Julian Goslar, porucznik w utworzonym przy boku Bema konnym legionie polskim. Legion ten, złożony z 60 ułanów, uzbrojonych w lance o białoczerwonych proporczykach, pełnił służbę przyboczną przy Bemie, gdyż dla nieznajomości terenu nie mógł być skutecznie używany do podjazdów. Niewiele też pożytku przyniosła obleżonym konna gwardya narodowa wiedeńska, której komendant, zawezwany przez Bema na naradę do Belwederu, wręcz oświadczył, iż jego podkomendni nie wyruszą do walki po za obrębem miasta...

Wogóle nie brakło Bemowi przykrych rozczarowań na każdym kroku. Messenhauser, który mu obiecywał w stanowczej chwili dostawić 200.000 zbrojnych, nie mógł w rzeczywistości zebrać więcej niż 4000 ruchomej

gwardyi a i w tej liczbie większość nie grzeszyła wojennym aniruszem. Okazało się to dowodnie podczas wycieczki, jaką generał zarządził w dniu 25 października przeciw wojskom rządowym, zajmującym Prater. Pierwsza salwa żołnierska wprawiała gwardzistów w szalony popłoch, mimo iż Bem, pod którym konia ubito, usiłował uciekających siłą powstrzymać. Za powrotem do miasta kawiarniani politycy jeli polskiego wodza obwiniać o zdradę, o porozumienie skryte z nieprzyjacielem.

Jakkolwiek dla doświadczonego w boju wojownika nie mogło być tajemnicą, że w takim składzie rzeczy Wiedeń niedługo zdoła się obronić, to jednak pełnił Bem niestrudzenie swą powinność. Pod jego to osobistym kierunkiem budowano na ulicach barykady, które przy pomocy dział i gwardyi bronić miały wstępu do stolicy wojskom liniowym. Całą noc z 27 na 28 października przepędził Bem pod gołem niebem objeżdżając w odkrytym powozie wszystkie stanowiska obronne. Opierając się na kiju, badał szczegółowo sytuację, przemawiając do komendantów lakońicznie, stanowczo:

Sie werden diese Barrikade nicht verlassen — mówił do komendanta wielkiej barykady przy Jägerzeile — *bis sie nicht mehr zu halten ist und dann... auch noch nicht!...*

W ten sposób starał się zagrześć do boju oficerów, co mu się w znacznej części udało, gdyż następnego dnia, podczas jeneralnego szturm, gwardya biła się z determinacją straceńców. Dla szeregowców jednak, Wiedeńczyków z krwi i z kości, przywykłych do żołnierskich parad i okazałych mundurów jeneralskich, postać szczupłego, niskiego człeka, jakim był Bem, kulejący przytem, ubranego w granatowy, skromny uniform lwowskiego gwardzisty, w białym, kalabryjskim kapeluszu z białem piórem na głowie — nie mogła być wcale imponującą. To też w ciągu owej pamiętnej nocy, przy pewnej barykadzie, wywiązał się między Bemem a zastępującym mu drogę gwardzistą następujący dyalog:

Halt! Wer da? — woła gwardzista.

Ich bin der commandirende General Bem — brzmi odpowiedź przybyłego.

So sein ein General? Das is auch ein curios Gewand für ein General!

Lieber Freund! Wir sind jetzt alle Krieger und ich bin nur ein Bürgergeneral.

Is schon möglich, aber ein Gewand von einem General ist das nöt — zauważył jowialny Wiedeńczyk, przepuściwszy Bema.

Nazajutrz przed południem srogi bój zawrzał na ulicach Wiednia. Najgwałtowniejszy opór stawiono wojsku na *Jägerzeile*, gdzie Bem

osobiście dowodził i dopiero widząc przeciwnika, usiłującego mu tył zabrać, dał generał rozkaz do odwrotu, który tym razem odbył się w porządku. Bem, wyczerpany bezsennością i walką, osłabiony świeżo otrzymaną w tym dniu od kuli karabinowej kontuzją, spotkał na moście Ferdynanda komendanta gwardyi Messenhausera, z którym udał się do gmachu ministerstwa wojny.

Zaprowadzony do apartamentu, zajmowanego do niedawna przez ministra Latoura, kazał opatrzyć swe rany lekarzowi, poczem wśród rozmowy z Messenhauserem usnął... Przy łożu jego czuwali prócz lekarza trzech adjutantów. Nagle o północy wtargnął do przedpokoju oddziałek, złożony z kilkunastu gwardzistów, którzy mimo perswazyi adjutantów, iż generał potrzebuje spoczynku, żądali usilnie rozmowy z Bemem. Zbudzony przez lekarza generał kazał ich wpuścić do pokoju, w którym leżał i podniósłszy się na łóżku, zapytał:

— Czego żądacie, panowie?

Gwardziści z bronią u nogi złożyli mu ukłon wojskowy, poczem jeden z nich ozwał się w te słowa:

— Co zamierzasz czynić, generale?

— Muszę poprzednio wiedzieć — odparł Bem — w jakim celu pytacie mię o to? Czy chcecie się bić, czy też kapitulować? W tym

ostatnim wypadku nie mam co robić, gdyż kapitulacya nie jest moją rzeczą. Jeżeli chcecie się bić, jestem na wasze rozkazy. Pójdźcie, a ja was powiodę.

— Czy jest rzeczą możliwą, jenerale, byśmy się dłużej mogli trzymać?

— Wódz nie powinien nigdy tracić nadziei — i ja też jej nie tracę, dopóki ostatni żołnierz nie zginie.

— Mówią, że jesteście zdradzeni...

— Nic o tem nie wiem. Znakiem mej zdrady są te oto rany...

— Ależ nie mamy amunicyi...

— To mię wcale nie obchodzi. Macie od tego naczelnego komendanta i dowódcę artyleryi. Ci niech się starają o amunicję. Moją rzeczą jest wieść was do walki!

Po tych słowach Bema głucho milczenie zaległo komnatę. Gwardziści spojrzeli po sobie, i złożywszy głęboki, pełen szacunku ukłon jenerałowi, odeszli, nie wyrzekłszy ani słowa.

Zaraz też podniósł się Bem z pośłania i mimo silnej gorączki, jaka się u niego objawiła skutkiem poniesionej kontuzyi, począł się ubierać i opuścił jeszcze tej nocy gmach ministerstwa, by zniknąć bez śladu...

O tajemniczem zniknięciu Bema krążyły wieści najbardziej fantastyczne w stolicy, która już układała się o kapitulację z wodzem ce-

sarskiej armii, księciem Windischgrätzem. Opowiadano, iż generał wpław puścił się Dunajem, ciągnąc za sobą czółno, w którym po przebyciu nieprzyjacielskiego kordonu umknął. Inni znów kazali mu odbywać niebezpieczną przeprawę przez obóz cesarski — w trumnie.

Oprócz tego odzywały się tu i ówdzie głosy, że Bem w przebraniu ukrywa się w Wiedniu. To jednak było rzeczą pewną, że przed opuszczeniem stolicy widział się generał z prezydentem izby, Smolką, który już poprzednio przedstawiał mu niemożność obrony Wiednia wobec przeważnych sił rządowej armii. Owej nocy przyznał Bem rację Smolce.

— Masz słuszność, prezydencie — rzekł generał. — Nie ma co robić. Wiedeńczyk, to nie żołnierz, a z garstką cudzoziemców nie dam sobie rady.

Ucieczka Bema wobec kapitulacyi stolicy była smutną koniecznością, gdyż zwycięska reakcyja nie byłaby z pewnością oszczędziła jego głowy. Nieszczęsny Jełowicki padł natomiast ofiarą zemsty Windischgrätzta, z którego rozkazu został rozstrzelany w fosach wiedeńskich w dniu 10 listopada. Schwymano też Goslara, który, skazany na pięcioletnie więzienie, opuścił w roku 1850 Kufstein po to tylko, by w dwa lata później skończyć na szubienicy jako zbrodniarz stanu. Dlatego

o szczęściu mógł mówić przyboczny lekarz Bema, dr. Aleksander Pepłowski, który, osadzony na lat 12 w Kufsteinie, odzyskał wolność w sierpniu 1852 r.

Podczas, gdy Windischgrätz kulą i stryczkiem rządził w Wiedniu, dążył Bem pod trójkolorowy sztandar madziarski, by przerwana walkę odnowić.

Przebrany za woźnicę, przewiózł Bem z stolicy rodzinę jednego z oficerów austriackich do obozu Wiedischgrätza, skąd nienagabywany przez nikogo, podążył prostą drogą ku forpocztom węgierskim, rozstawionym na lewym brzegu Dunaju. Przytrzymany przez powstańczą placówkę, przespał się na gołej ziemi do rana i dopiero z nadzieją dna prosił dowodzącego oficera o pozwolenie napisania kilku słów do Kossutha, bawiącego w Preszburgu. Ordynans odniósł kartkę do miasta i niebawem przed strażnicę zajechał powóz, z którego wysiadł hr. Andrassy. Z odkrytą głową, ku niemałemu zdziwieniu żołnierzy, zbliżył się hrabia do przytrzymanego przez nich jeńca i po wymianie kilku słów zaprosił go do powozu. Bem przybył do Kossutha właśnie w chwili, gdy tenże po fatalnej porażce pod Schwechatem oddał pod sąd wojenny generała Moge, którego następcą mianował Görgeya. Ucieszony przybyciem Bema, pragnął Kossuth

z jego pomocą powetować w jak najkrótszym czasie poniesioną klęskę i dlatego bezzwłocznie wyprawił generała ku Małym Karpatom dla objęcia dowództwa nad dwiema dywizjami armii powstańczej, których przeznaczeniem było osaczenie operującego w tych stronach austriackiego korpusu, pozostającego pod komendą generała Simonicza. Niestety misja Bema była spóźnioną, gdyż skutkiem nieudolności węgierskich komendantów Simonicz przed przyjazdem generała zdołał umknąć w karpackie wąwozy, gdzie był już zupełnie bezpiecznym wobec wszelkiego pościgu. Za powrotem do Pesztu zastał Bem w głównej kwaterze sporą garść Polaków, przybyłych z pod rozmaitych zaborów w chęci służenia w sprawie węgierskiej. Prócz deputacyi lwowskiej Rady Narodowej, reprezentowanej przez Józefa Wysockiego, późniejszego generała, i głośnego powieściopisarza Dzierzkowskiego, snuło się w Budapeszcie mnóstwo młodzieży galicyjskiej, przejętej zasadami demokratycznymi i kupiącej się koło Wysockiego, jako przedstawiciela centralizacyi wersalskiej, sporo oficerów z roku trzydziestego, a nawet wychowalców austriackich zakładów wojskowych. Wśród tego gwarnego zastępu, którego moralnym przewodnikiem był Dzierzkowski, nominalnym zaś Wysocki, nie cieszył się sympatją Bem, zalicza-

jący się nad Sekwaną do zwolenników polityki hotelu Lambert. Nadto generał zasadniczo okazał się przeciwnym formowaniu odrębnego legionu polskiego. Lękał się zapewne, by go Węgrzy nie użyli przeciw Słowianom i doradzał Kossuthowi, by ochotnicze oddziały polskie przydzielać korpusom węgierskim. Wpływ Bema na Kossutha i członków rządu był wówczas bardzo potężny. Mówiono głośno, że główne dowództwo, odebrane Görgeyowi, dostanie się w jego ręce. Nie dziw przeto, iż zdanie Bema przemogło u rządu, który oświadczył proszącej o pozwolenie na zawiązanie legionu deputacji polskiej, iż na razie zgadza się na organizacją dwóch jeno kompanii piechoty, jednego szwadronu ułanów i jednej baterii artylerii.

Decyzja rządowa srodze ubodła Polaków zgromadzonych w Budapeszcie a zarazem spowodowała grono rozważniejszej, naszej młodzieży do zapośredniczenia zgody między Bemem a Wysockim. Bem okazał się nadspodziewanie chętnym dla myśli porozumienia się wzajemnego.

— Przyjdźcie do mnie, będę wam bardzo rad i roztrząśniemy razem co jest za i przeciw legii polsko-węgierskiej — mówił do wysłanników młodzieży. — Niech przyjdzie i Wysocki, nie jako reprezentant centralizacji, bo

z takim do czynienia mieć nie chcę, ale jako młodszy do starszego, jako niższy oficer do generała a przyjmę go z otwartemi rękoma.

Jakoż następnego dnia udała się do mieszkania Bema deputacya z sześciu osób złożona, w gronie której znalazł się i Wysocki. Dzierzkowski nie chciał brać udziału w tej konferencyi, lecz Wysockiemu w ostatniej jeszcze chwili udzielił stosownej instrukcyi...

Bem, uprzedzony o przybyciu deputacyi, przyjął jej członków nader uprzejmie, Wysockiemu podał rękę.

— Jesteśmy tu panowie *en famille* — rzekł do przybyłych — i jał im wyjaśniać że zasadniczo nigdy nie był przeciwny legionom, ale nie chciał, aby je formowano w samym początku kampanii, raz dla uniknięcia rozdwojenia w świeżo zorganizowanej armii, a powtóre, by zbyt wczesnie nie ściągać interwencyi rosyjskiej w walce z Austryą. Powrócił przy tej sposobności do swej ulubionej myśli o pośrednictwie Polaków w zatargu węgiersko-słowiańskim i utrzymywał, że nie należy zrażać zbyt gwałtownem wystąpieniem Słowian, których Polacy przez tak długi czas starali ująć dla swej sprawy. Doradzał przeto na razie formację jednego batalionu polskiego, do któregooby można następnie wcielać pomniejszych oddziały, związane przy różnych

korpusach. Tym sposobem batalion wzrósłby niepostrzeżenie w legion, zaś legion w armią polską.

Przeciw temu postępowaniu wystąpili deputaci, którzy twierdzili, że nie chcą zdawać na łaskę i niełaskę Węgrów młodzieży, która zniechęci się tą powolnością organizacyi i odstręczy od przekroczenia granicy licznych ochotników, oczekujących tylko hasła do rozpoczęcia walki. W toku ożywionej rozprawy przypomniał Wysocki sprawę legionów portugalskich z 1833 r., lecz Bem przerwał mu cierpkim tonem :

— Och ten legion portugalski, *c'est toujours votre cheval de bataille* i co rychlej starał się wyjaśnić ową sprawę, by zwrócić dyskusyą na właściwe tory. Oświadczył wówczas stanowczo, że jeżeli większość polskiego ogółu pragnie natychmiastowego zawiązania legionu, to i on się na tę myśl godzi, pod warunkiem, że organizacya tego oddziału będzie ściśle wojskową z pominięciem demokratycznego zwyczaju wybieralności podoficerów i oficerów. Przyznał wszakże, że dowódcę legionu mogą i powinni wybrać sami legioniści z swego grona.

W ten sposób sprawa zdawała się zupełnie załatwioną i deputaci zamierzali pożegnać już Bema, gdy nagle Wysocki wystąpił z prze-

mową do jenerała, wzywającą go, by niezapomniał o swem przyrzeczeniu, bo inaczej ogół polski zaprotestuje przeciw jego postępowaniu i uczyni go odpowiedzialnym wobec świata za zniweczenie nadziei, pokładanych w sprawie węgierskiej...

Bem nie dał mu skończyć. Twarz jego blada i zimna oblała się krwawą purpurą, zamglone oczy ciskały gromy. Pięścią w stół uderzył z całej siły i w najwyższym uniesieniu zawołał:

— Tak, protestować, szkalować, szarpać ludzi zasłużonych, to wasze rzemiosło! Protestujcie więc, szkalujcie! Ja z wami już nic nie mam do czynienia. Idźcie precz!...

Deputacya odeszła. Ludzie rozsądniejsi, trzeźwo oceniający stosunki, ubolewali wielce z powodu zerwania stosunków z Bemem, co równało się wypowiedzeniu otwartej, wielce gorszącej walki w łonie wychodźstwa. Inaczej wszakże zapatrywała się na ową sprawę młodzież, gorąca, porywcza, jak zwykle, a nadto podrażniona do najwyższego stopnia mową Wysockiego, który, powróciwszy od Bema, przedstawił zebrany, że jenerał z nieznanym mu bliżej powodów paraliżuje dobre chęci węgierskiego rządu dla Polaków i w niwec obraca projekt legionów polsko-węgierskich. Doradzał przeto Wysocki, by młodzież

powróciła do kraju, gdyż nie przystoi Polakom służyć obcym w charakterze najemników. Wystąpienie owo, spokojne na pozór, w rzeczywistości jednak najeżone wycieczkami osobistymi przeciw Bemowi, oraz piętnujące go mianem intryganta i egoisty, myślącego o swoich jedynie korzyściach, wywołało skutek fatalny.

Z młodzieży, przebranej już w przeważnej części w mundur wojskowy, kilkunastu zaledwie opuściło Budapeszt, inni krążyli po ulicach i kawiarniach, złorzecząc i odgrażając się głośno Bemowi. Niestety nie skończyło się tym razem na głośnych groźbach!

Zaraz tego samego dnia, (9 listopada), złożyli przyszli legioniści u Kossutha protest piśmienny, wymierzony przeciw Bemowi, nazajutrz zaś zjawił się w mieszkaniu generała młody człowiek, legionista, przybyły z Galicyi, nazwiskiem Ksawery Kołodziejski, domagając się natychmiastowego posłuchania pod pozorem, iż przychodzi w ważnej sprawie. Bem kazał go wpuścić. Kołodziejski, zbliżywszy się na dwa kroki do generała, dobył znienacka pistoletu i strzelił do niego, mierząc w głowę. Kula utkwiała w kości policzkowej Bema, który, nie tracąc zimnej krwi, odtrącił adjutanta swego, Władysława Jordana, zamierzającego się dobytym pałaszem na napastnika, i pochwyt-

ciwszy Kołodziejskiego za kołnierz, kazał służbie sprowadzić policyą.

— Wiem, czyja to sprawka — zawołał do Jordana — trzeba, żeby sąd sprawę tę zbadał.

Przybiegli niebawem żołnierze policyjni i odstawili sprawcę zamachu do sądu wojennego. Ogół polskiego wychodźstwa potępił wprawdzie w publicznem oświadczeniu zamach na Bema, co jednak nie przeszkodziło gorętszym żywiołom z tego grona w urabianiu opinii publicznej na korzyść Kołodziejskiego, zwłaszcza poczciwi Galileusze, wśród których nie brakło głów zapalonych, rozbiegli się po mieście, a władając dobrze językiem niemieckim, wmaiwiali w dziennikarzy po redakcyach oraz w publiczność, kupiącą się po winiarniach i innych lokalach publicznych, że sprawca zamachu jest bohaterem, zaś Bem — zdrajcą!... Zapomnieli o Ostrołęce...

Nie dziw więc, że zarówno prasa, jak opinia publiczna oświadczyły się za Kołodziejskim, który skazany przez sąd doraźny na rozstrzelanie, wystawiony został pod pręgierzem. Winowajca, okuty w kajdany, stał się przedmiotem ogólnego zaciekawienia. Był to młodzieniec małego wzrostu, przystojny, z zawiesistym wąsem. Wyraz twarzy pogodny i śmiały, jednał mu sympatyę wśród tłumu, ludzającego się, jak zwykle, pozorami. Po połu-

dnia plac przed pręgierzem przepełniony był publicznością, która wydawała gromkie „Eljen!” na cześć skazańca. Później nastąpiła manifestacja przed pałacem, w którym mieściła się rezydencya władzy rewolucyjnej. Tam już wręcz wołano: „Precz z Bemem! Niech żyje Kołodziejski!” Rząd pod presją opinii publicznej uląkł się, kazał odprowadzić winowajcę do więzienia i odroczyć wykonanie wyroku. Jakoż potrzymano Kołodziejskiego przez czas jakiś pod kluczem, poczem wypuszczono go na wolność.

Zamach Kołodziejskiego miał ten fatalny dla sprawy węgierskiej skutek, iż na razie pożegnano się w sferach rządzących z myślą ofiarowania Bemowi buławy naczelnego wodza. Zarazem Kossuth, chcąc pozbyć się z stolicy burzliwego żywiołu, jaki przedstawiali polscy emigranci, przyspieszył organizację polskiego legionu w sile dwóch kompanii piechoty, szwadronu jazdy i baterii artylerji. Dowództwo legionu powierzono Wysockiemu z poleceniem wymarszu pod Arad.

Natomiast Bemowi, zaledwo wygojonemu z otrzymanego postrzału, zaofiarowano dowództwo dziewiczej twierdzy Komorna. Ale generał, mimo wieku i tylu bolesnych doświadczeń, nie rad poprzestawał na defenzywie i dla tego Kossuthowi dał następującą,

wielce charakterystyczną odpowiedź: „Jeżeli forteca nie jest do wzięcia, to jej Austriacy nie zdobędą. A jeżeli ją opanują, to ją później im odbiorę!“ I w rzeczy samej nie długo przyszło mu czekać na sposobność, godną jego geniuszu, na zadanie, którego spełnienie opromieniło na wieki sławą jego nazwisko. W dniu 8. grudnia 1848 r. opuścił Bem madyarską stolicę na skromnej bryczce, mieszczącej w sobie miniaturowe zawiniątko. W surducie, szczelnie pod szyję zapiętym, w halsztuku bez kołnierzyka, z twarzą bladą, gładko wygoloną, wyglądał on raczej na kościelnego sługę, aniżeli na wojownika, któremu przypadło w udziale odzyskanie Siedmiogrodu, opuszczonego już niemal zupełnie przez wojska narodowe wobec przeważnych sił zwycięskiego nieprzyjaciela.

Udając się do Siedmiogrodu, stawał Bem niejako na straconym posterunku. Armia narodowa, licząca niespełna trzynaście tysięcy żołnierza, świeżo zaciężnego i źle uzbrojonego, obdarta i bosa, zdemoralizowana ciągłymi porażkami, cudem ledwo trzymała się na samej krawędzi Siedmiogrodu, wypierana przez trzydziestotysięczny korpus generała Puchnera i niezliczoną ilość drużyn wołoskich. Z całego kraju już tylko sześć wsi było w posiadaniu wojsk narodowych.

W dniu dziesiątym grudnia stanął Bem w Debreczynie, gdzie ludność, spiesząca na powitanie nowego wodza, przyjęła go nieprzychylnem milczeniem. Niepozorna postawa generała dała nawet powód do głośnych utyskiwań przeciw rządowi, iż tak niestosowny uczynił wybór... Z Debreczyna na Wielki Waradyn pospieszył Bem do głównej kwatery powierzonego mu oddziału do Czuczy. Po odbytych przeglądzie szeregów, przemówił do korpusu oficerskiego w te słowa:

— Moi panowie! Rząd zamianował mnie naczelnym dowódcą tej armii, dając mi *plein pouvoir*. Żądam od was bezwarunkowego posłuszeństwa. Kto nie usłucha, będzie rozstrzelany. Potrafię także nagradzać!

Krótką tą przemową sprawiła głębokie wrażenie wśród podwładnych oficerów, którzy niebawem mieli sposobność do gruntownego poznania znakomitych zalet Bema, jako wodza. Energia, wiedza znakomita, szalona odwaga, szły u niego w parze z sprawiedliwością wobec żołnierza, z ludzkością dla jeńców, z spartańskim iście zaparciem się wszelkich wygod, właściwych jego stanowisku i wiekowi. Znoszeniem trudów wojennych przyświecał jako przykład każdemu żołnierzowi. Wymagający i bezwzględnie surowy dla podwładnych bez różnicy stopnia, nie szczędził

też nagród, pochwał i awansów dla odznaczających się w boju. Zamknięty w sobie, milczący, nie zwoływał nigdy rady wojennej i tylko od czasu do czasu zasięgał od swego szefa sztabu, pułkownika Czetza bliższych informacyi co do właściwości terenu. Ta wyjątkowość Bema, jako wodza, dawała mu wyjątkową powagę wobec otoczenia, które musiało w nim uznać i nadzwyczajne zdolności i doświadczenie wojenne. O tajemnicy, jaką zwykł był jenerał otaczać swe plany, świadczy najlepiej następujący epizod: Zagadniony w Schässburgu przez jednego z wyższych, sztabowych oficerów, co czynić zamierza, zapytał go Bem:

— Umiesz pan milczeć?

— Tak — brzmiała odpowiedź.

— I ja także — dodał Bem, urywając z ironicznym uśmiechem na ustach dalszą rozmowę.

Jako człowiek odznaczał się Bem nadzwyczajną ludzkością i uczynnością. Ze znacznej, udzielanej mu przez rząd płacy, nie zatrzymywał dla siebie ani grosza, lecz wszystko rozdawał między wieśniaków, dostarczających podwód, tudzież między żołnierzy. Wąły na pozór, posiadał w rzeczywistości żelazny organizm, zahartowany na wszelkie trudy. Z trzema otwartemi ranami w nodze uczestniczył w każdej bitwie, podczas pochodu

zaś jechał zazwyczaj w powozie, w przedniej straży. Nieprzyjaciel wszelkiej okazałości, unikał Bem, o ile możności, uroczystych przyjęć i niewielką żywił sympatyą do władz cywilnych. Na równi z dygnitarzami krajowymi traktował kobiety, wobec których zachowywał się zawsze z wyszukaną galanterią, lubo nie był osobistym przyjacielem kobiecego towarzystwa i najchętniej wybierał sobie kwatery w takich domach, gdzieby nie potrzebował składać wizyt gospodyni.

Wśród armii siedmiogrodzkiej szczególnie wyróżniał Szeklerów z powodu ich mężstwa i okazywanej przez nich w walce pogardy śmierci. To też w chwilach, gdy chodziło o zdobycie jakiej warownej pozycji, zwykł był zjawiać się przed hufcami szeklerskimi, wołając do nich tonem zachęty:

— *Elöre fiam!* — (Naprzód dzieci!)

— *Eljen Bem apò!* — (Niech żyje ojciec Bem!) — odpowiadali Szeklerzy i uderzali z szaloną furją na nieprzyjaciela, roznosząc wokoło śmierć i zniszczenie.

Bo też Bem umiał zachęcać ich do nadzwyczajnej brawury nie tylko słowem, ale i sutymi datkami pieniężnymi, skutkiem czego szeklerzy jak szaleni darli się na nieprzyjacielskie baterye, wiedząc, że za każde zdobyte działo czeka ich suta nagroda. W ogóle dla

Węgrów żywił jenerał żywą sympatyą. Zwykł był mówić o nich: „Węgrzy są dzielni, odważni, śmiali, ale nie lubią pisać. Pisanie raportów jest dla nich rzeczą obcą. Wolą raczej przebyć 15 mil, aniżeli napisać jedno słowo!...” Jeden jedyny Görgey nie cieszył się względami Bema, który już w zimie 1849 roku niejednokrotnie w zaufanem kółku wyrażał się ujemnie o przyszłym dyktatorze. „Görgey — powtarzał — nie jest wodzem, gdyż nie zasługuje na to miano jenerał, który ucieka z pod Schwechatu aż do Schemnitz, nigdzie nie chcąc stawić czoła przeciwnikowi. Zresztą strzeżcie się, gdyż Görgey jest złym człowiekiem!...”

Wpływ Bema jako wodza podziałął ożywczo na zdemoralizowaną dotychczasowymi klęskami, szczupłą armią siedmiogrodzką. W kilka dni po objęciu komendy rozbił w puch dwie brygady wojsk cesarskich, wiedzione pod Czuczę przez Wardenera i Urbana. W bitwie tej, stoczonej w dniu dwiętnastym grudnia, po raz pierwszy doświadczyli austriaccy wodzowie, jak przeważną w boju rolę odegrać może dobrze kierowana artylerya. Szalona szarża Maksdragonów, dowodzona przez majora St. Quentina na węgierskie baterye, przypominała poniekąd Samosię. W wyciągniętym galopie uderzyli

dragoni na powstańczą baterią; która na trzy tysiące kroków jeła ich zarzucać takim gradem kartaczowych pocisków, iż zdziesiątkowana jazda umknęła w dzikim popłochu, trając końmi własną piechotę. Nazajutrz poraził Bem nieprzyjaciela pod Czibo, zaś zwycięzka utarczka pod Dejżem oddała w jego ręce w dniu dwudziestym piątym grudnia warowny Klausenburg wraz z wszystkimi zapasami wojennymi, znajdującymi się w tem mieście. Jeszcze przed upływem czterdziestego ósmego roku, w ostatnich dniach grudnia, nastąpiły szczęśliwe dla oręża węgierskiego spotkania pod Betten, Bystrzycą, Nachodem. Północny korpus wojsk rządowych został zupełnie rozbity, żołnierze uciekali w lasy, rzucając broń i tornistry. Głód i mróz wypędzały ich z tego schroniska, zaś dezterterzy z galicyjskich pułków gromadnie spieszyli pod sztandary Bema. Powodzenie towarzyszyło mu stale i w styczniu roku następnego — świadczyły o tem zwycięzie Tyhucy i bitwa pod Galfalwą.

Dopiero zbyt porywcze uderzenie na warowny Sybin, (w dniu 21. stycznia), odwróciło pomyslną dla armii narodowej kartę losu. Odparty przez przeważne siły nieprzyjacielskie, stracił Bem więcej niż połowę swych szczupłych wojsk, a nadto na osaczono go ze wszech stron uderzył feldmarszałek Puchner na czele

czternastotysięcznego korpusu i dział trzydziestu sześciu. Ustępując krok za krokiem, cofał się Bem, aż pod Piszki, gdzie złączwszy się z brygadą Kemenego stanął znów na czele sześciotysięcznego oddziału, gotów do stanowczej rozprawy. Był to odwrót godny uwiecznienia na kartach dziejów nowoczesnej sztuki wojennej. Bem, mimo, iż pod Galfalwą i Salcburgiem dwukrotnie znalazł się w niebezpieczeństwie życia podczas szarży jazdy nieprzyjacielskiej, towarzyszył ciągle swej przedniej straży, za całą broń mając szpicrutę. Właśnie w ciągu odwrotu pod Piszki zdarzył się w okolicy Sasvaros wypadek, świadczący nader wymownie o zapamiętałości i odwadze Bema.

Oslaniając swą garstkę, został wraz z dwoma działami pod miastem — reszta armat jego, zdemontowana, nie była już do użycia.

O pozostałe pokusił się batalion galicyjskiego pułku Sivkovich'a. Dwukrotnie szli cesarscy do szturmu, lecz piechota Bema broniła zaciekle swych armat, przy których stał wódz jej ukochany. Walczono w tłoku na kolby i bagnety — w końcu Sivkovicze zdobyli działa. Wówczas rzuca się na nich Bem z podniesioną w górę szpicrutą i woła tonem komendy:

— *Marsch zurück in die Front. Das sind meine Kanonen!...*

Nastąpiła krótka chwila milczenia.

— *Fällt das Bajonnet! Feuer!* — zakomenderował dowódca atakujących.

Gruchnęła salwa... Już cesarscy chwytają za cugle konia jenerała, by go pojmać do niewoli, gdy w tem nagle, jakby huragan wpadają huzary pod wodzą Dobaja odbijając armaty i Bema, któremu wśród wiru walki odstrzelono palec u prawej ręki.

Bitwa pod Piszki, stoczona w dniu 9. lutego, uwieńczyła świeżym laurem skronie szczęśliwego wodza. Z kolei nastąpiły starcia pod Mediaszem i Schässburgiem. Bem naprzemiennie zwyciężał, to znów zwyciężony rzucał się w sam środek nieprzyjacielskich szyków. Dzień dziewiąty marca 1849 roku zastał go pod Schässburgiem otoczonego przez przemagające siły cesarskich i rosyjskich wojsk posiłkowych.

— Jesteśmy zupełnie otoczeni — rzekł Bem do swego sztabu. — Pójdziemy więc jedyną drogą, która jest wolną — do Sybina!

I nie zwłócząc ni chwili, ruszył na to miasto, z którego w dwa dni później pierzchała armia rosyjska, zostawiając twierdzę Bemowi. W następnym tygodniu poddał mu się Braszów, i wojska austriackie wraz z sprzy-

mierzonymi Rosyanami uszły na Wołoszczyznę pozostawiając cały Siedmiogród zwycięzcy. Rząd narodowy nie omieszkiał wynagrodzić Bema w miarę możliwości. Osobna deputacya przywiozła mu w imieniu rządu powinszowania oraz order, ozdobiony dyamentem wyjętym z korony św. Szczepana. Próżne miejsce w koronie miano zastąpić wyrytem jego nazwiskiem na znak, iż mąż ten jest najdroższym korony madziarskiej klejnotem. Akt wręczenia tej odznaki Bemowi odbył się wśród uroczystości kościelnych i wojskowych, którym towarzyszyły okrzyki ludności Sybinu.

— *Eljen Bem!*

— *Eljen a haza!* (Niech żyje ojczyzna!)

— *Eljen a Magyar!*

— *Eljen a lengyel!* (Niech żyje Polak!)

Serenady i korowody z pochodniami zakończyły ów dzień pamiętny w dziejach Siedmiogrodu, który czcił radośnie zasługi polskiego wodza. Teraz dopiero organizacyjne zdolności Bema w najchlubniejszym zabłyśły świetle. Wybierając kadry z dawnego żołnierza, tworzył nowe bataliony z gwardyi narodowej, zakładał młyny prochowe i ludwisarnie, zaś ogłoszeniem ogólnej amnestyi przywrócił pokój w kraju. Mimo tylu zajęć wojskowych, znalazł Bem jeszcze dość czasu do robót politycznej natury za pośrednictwem konsulów

francuskiego i angielskiego w Bukareszcie, nawiązał dyplomatyczne stosunki z rządem tureckim, informował gabinet paryski o przebiegu kampanii węgierskiej, a nawet myślał o wysłaniu wielkiego poselstwa do Stambułu. Zamiar ten, przedstawiony rządowi centralnemu, spełził na niczem, rzekomo dla braku funduszków. W ogóle Bem, mimo osobistej sympatii dla Kossutha, nie w najlepszej pozostawał harmonii z rządem centralnym, który odwołaniem ogłoszonej przez generała amnestyi zniszczył zainaugurowane tak pomyślnie przez niego dzieło pacyfikacyi Siedmiogrodu. Odwołanie amnestyi było krokiem tem bardziej chybnym, ile że główni hersztowie kontrrewolucyi saskiej i wołoskiej umknęli wcześniej z kraju w ślad za wojskami cesarskiemi, zaś wobec tłumu, uwiedzionego przez nich, raczej łagodnością, niż bezwzględnością kierować się należało. Bem surowy, lecz sprawiedliwy w każdej sprawie sędzia taką dał odpowiedź Sasom, błagającym go w Sybinie o łaskę:

Jestem tylko człowiekiem, a rozdawnictwo łaski nie jest rzeczą ludzką. Ludzie dzierżą w ręku jeno prawo. Zastosuję je w obec tych, którzy wywołali bratobójczą walkę, sprowadzili Rosyan i kraj narazili na krwawą klęskę. Z niewinnymi wszakże mieszkańcami, z ko-

bietami, z dziećmi i z starcami nie prowadzę wojny!

Wzniosłe te słowa winniby zapamiętać dobrze wodzowie zwycięzcy!

W Sybinie doręczono Bemowi rozkaz wkroczenia do Banatu, dokąd już poprzednio wtargnęły wojska austriacko-rosyjskie, zreorganizowane po siedmiogrodzkich klęskach na Wołoszczyźnie. Bem w połowie kwietnia pospieszył do Banatu i rozgromiwszy naprzód posuwający się od strony Temeszwaru korpus Leiningena, pobił następnie w pierwszych dniach maja i zmusił do ponownego odwrotu na Wołoszczyznę nadciągającego z pod Orsowy marszałka Puchnera. Ale znaczne siły przeciwnika, wzmocnione świeżymi posiłkami rosyjskimi, przeważały szalę zwycięstwa na stronę Austrii. Z końcem czerwca weszli Rosjanie i Austriacy od północy i południa do Siedmiogrodu, w obec czego i Bem powrócił co rychlej z Banatu na widownię swych niedawnych tryumfów. Tym razem jednak szczęście odwróciło się stanowczo od nieustraszonego wojownika, który nie tracąc wiary w dobrą sprawę, z garstką swego wojska rzucił się na dziesięćkroć silniejszego wroga. Smiała wyprawa Bema na Multany, w ciągu której udało mu się zniszczyć rezerwy i zapasy ro-

syjskie, zdawała się początkowo rokować mu znaczne sukcesy, lecz zagrożony odcięciem od Siedmiogrodu, musiał nasz wódz cofnąć się do tej prowincyi i przyjąć z Rosyanami bitwę pod Kerestur w najbardziej niesprzyjających warunkach. Pobity niemal doszczętnie, ocalał cudem prawie, gdyż w czasie szarży ułanów rosyjskich runął wraz z koniem w rów wodą, napelniony, w którym go atakujący zostawili, sądząc po ubiorze, iż mają do czynienia z oficerem niższego stopnia. Adjutanci Bema rozbiegli się już na wszystkie strony, by odnaleźć zwłoki swego wodza, który niespodzianie, gdyby gość z drugiego świata, pojawił się w Kerestur. W trzy dni później był już w Maros-Vasarhely i zbierając po drodze rozpierzchnięte oddziały armii narodowej, uderzył na zajęty przez Rosyan Sybin i wyrzucił ich z tego miasta. Niepoparty wszakże w odpowiedniej porze przez inne korpusy armii powstańczej, które miały się z nim połączyć, poniósł znów dotkliwą klęskę pod Mühlenbach, gdzie go otoczyli połączeni z Rosyanami Austriacy. O odzyskaniu Siedmiogrodu nie było już i mowy. Bem, zawezwany przez Kossutha celem objęcia naczelnego dowództwa armii narodowej, zdał dowództwo siedmiogrodzkiego korpusu generałowi Steinowi, sam zaś w towarzystwie kilku jeno oficerów pospieszył do

Banatu, gdzie rozegrywał się końcowy akt dziejowej tragedyi.

Kossuth odebrał wprawdzie w dniu 30. lipca naczelną komendę Görgey'owi, marnującemu bezrozumnie czas i wojsko, powierzając główny kierunek działań Henrykowi Dembińskiemu. Ale Görgey, stojący na czele trzech najlepszych korpusów armii węgierskiej, nie chciał przyjmować rozkazów z głównej kwatery, skutkiem czego zapanowała straszliwa anarchia wśród powstańczego wojska, cofającego się na całej linii ku południowi.

Pod Temeszwarem, w dniu 9. sierpnia, w chwili, gdy kolumny wojsk cesarskich szykowały się do ataku na stanowiska, zajęte przez Dembińskiego, przybył Bem do armii narodowej celem odebrania naczelnego dowództwa. Dembiński zdając mu władzę, skarżył się z powodu sprzecznych i bezzasadnych rozkazów, jakie mu rząd narzucał.

— Ja też nigdy żadnych rozkazów nie słuchałem — odparł mu Bem, który nie zważając na ostrzeżenie swego poprzednika, by przed przybyciem korpusu generała Kmetego nie rozpoczynał bitwy, zauważyć miał z ironią:

— Ależ jenerale, nie można zawsze się cofać!

Raz jeszcze Dembiński przestrzegał Bema o niemożności stawania do walki w szczerem polu z żołnierzem świeżo zasiężnym, głodnym i zdemoralizowanym, lecz generał, ośmielony powodzeniem pierwszych kroków zaczepnych, jakie z jego rozkazu poczyniono, nie dał się odwieść od zamiaru stoczenia bitwy w tem miejscu. Widząc cofającą się jedną kolumnę nieprzyjaciela, zawołał Bem z uniesieniem:

— Uciekają! Uciekają! — i zwróciwszy się do Dembińskiego, rzekł: — Jenerale! Bierz komendę lewego skrzydła, ja jadę na prawe. Trzeba ich ścigać!...

Wówczas Dembiński, urażony uporem swego następcy, przemówił do niego po polsku, aby go otoczenie nie zrozumiało:

— Chcesz głupstwo robić, rób je sam. Kiedy mojej najlepszej rady słuchać nie chcesz, nie mam tu co robić. Odjeżdżam, armią ci pod ręką postawię, ale do tego co zrobisz, mieszać się nie będę, bo wszystko stracisz!

Niestety, nie mylił się tym razem Dembiński. Zrazu szczęście zdawało się sprzyjać Węgrom, jak długo zwłaszcza walczyła tylko artylerya przeciw artyleryi. Z chwilą jednak, gdy nieprzyjaciel po otrzymaniu znacznych posiłków ruszył do ataku, zmieniła się sytuacja. Pierwsze pierzchło prawe skrzydło,

złożone z świeżego rekruta, za nim w ślad poczęła uchodzić jazda, a ponieważ na wypadek odwrotu nie oznaczono żadnego punktu zbornego, przeto całe wojsko poszło w rozsypkę. Niedobitki gromadziły się w Lugos, ściągając się z różnych stron, ale bataliony, liczące przed bitwą po tysiąc i więcej żołnierza, stopniały do stu lub dwustu szeregowych.

Bem, zrzucony z konia podczas odwrotu, z wybitym obojczykiem i z raną w głowie od odłamka kartaczowego, przybył do Lugos, przepełnionego oddziałami różnej broni, pomieszczanymi bezładnie, tudzież ludnością okoliczną, szukającą bezpieczeństwa pod osłoną wojska. Mimo klęski i rany nie upadł Bem na duchu, lecz zajął się co rychlej reorganizacją pozostałych pod bronią oddziałów, a zawezwany przez Kossutha do Aradu, dowiedział się na swe szczęście w pół drogi jeszcze o rezygnacyi prezydenta oraz o dyktaturze Görgeya. Otrzymawszy tę wiadomość powrócił Bem do Lugos, zkąd w dniu 14. sierpnia wystosował do Kossutha list, zawierający wyrzuty dla niego z powodu zrzeczenia się władzy oraz oświadczenie, iż nie uznaje dyktatury, jeno rząd ustanowiony przez przedstawicieli narodu węgierskiego. Zarazem wzywał Kossutha, by mu towarzyszył do Sie-

dmiogrodu, gdzie zamierzał prowadzić walkę do ostatniej kropli krwi. Niestety, odpowiedzi na swe pismo nie otrzymał generał, gdyż wszystkie drogi zajęte już były przez nieprzyjaciela. Tymczasem zniechęcenie rosło wśród podwładnych Bema, którym ajenci rosyjscy rozpowiadali na ucho o przymierzu, zawartem rzekomo przez Görgeya z Rosyą, o przyjęciu armii węgierskiej na żołd carski, o osadzeniu na madziarskim tronie księcia Leuchtenberskiego jako konstytucyjnego władzcy.

Fantastyczne te baśnie znalazły dość naiwnych słuchaczy w kołach oficerów sztabowych, którzy nawet na wieść o sromotnej kapitulacyi Görgeya w Vilagos nie przedstawiali się naradzać, czy nie należy im również korzystać z „*pomyślnych*“ warunków tego aktu. Jakoż w dniu 16. sierpnia pierwszy porzucił Bema z swym korpusem Veczey, dążąc do Aradu celem złożenia broni.

Postępek ten rozluźnił do reszty osłabione już węzły wojskowej karności. Rzuciły broń i rozchodziły się na wszystkie świata strony całe oddziały wojska, mimo prośb i zaklinań Bema, który stojąc na środku gościńca w Devie, napróżno starał się zatrzymać uciekających.

Widząc, że wszystko stracone, pozostawił generał upoważnienie do poddania się pułkownikowi Bekerowi, sam zaś w towarzystwie kilkunastu oficerów, oraz oddziału ułanów polskich odjechał do Lesnek. Dzięki tej osłonie zdołał Bem ocalić w jednej wsi pogranicznej schwytanego przez bandę wołoskich chłopów generała Kmetego, który podzielał z nim później smutne losy wygnania. W Lesnek pożegnał Bem swój orszak i konno, bez grosza przy duszy, puścił się górskimi ścieżynami ku granicy tureckiej. Przebył ją szczęśliwie i w Widyniu połączył się z ziomkami, składającymi w ciągu kampanii legion polski pod rozkazami Wysockiego...

Obozowali pod miastem w namiotach, dostarczonych przez rząd turecki, który z godną uznania gościnnością podejmował wygnańców. I znów odnowiły się spory polityczne w tem gronie, skazanem na bezczynność, niepewnem jutra. Do września 1849 roku koczowali wychodźcy pod Widyniem, poczem znaczna część zdecydowała się na powrót do Austrii, podczas gdy pozostałych, przeważnie oficerów, przewieziono do Szumli. Michał Czajkowski i Władysław Zamojski czynili w tym czasie usilne zabiegi w Stambule celem zabezpieczenia losu wychodźców na przyszłość. Bardzo pomocnym był im pod tym względem wielki wezyr, Re-

szyd-pasza, człowiek światły, przyjaciel Polaków, zwalczający z fanatyczną zaciętością wpływy caratu na wschodzie. Ale i wielki wezyr miał do pokonania niejedną trudność, jaką mu gotowali na każdym kroku i pozyskani rosyjskim rublem członkowie Dywanu i carscy dyplomaci.

Zabiegi ambasadorów, domagających się imieniem Rosyi i Austryi wydania polskich i węgierskich wychodźców, poparł car Mikołaj własnoręcznym listem do sułtana, którego doręczenie zalecił, ku hańbie narodu naszego, adjutantowi swemu, księciu Radziwiłłowi. Radziwiłł przybył do Stambułu z początkiem września 1849 roku. Przedstawiciele Francyi i Anglii, zapytywani przez Portę o zdanie w tej sprawie, tłumaczyli się brakiem szczegółowej instrukcyi od swych dworów, a cichaczem doradzali wychodźcom, by przyjęli islam dla ratowania życia. Wówczas to Reszyd zdołał nakłonić sułtana do dania należytej odprawy carowi. Abdul Medżid odpowiedział Rosyi, że wierny przepisom Koranu bronić będzie wygnańców jako swych gości! Groźba wojny, wyrzeczona skutkiem tego oświadczenia przez gabinet petersburski, wywołała stanowcze deklaracye ze strony mocarstw zachodnich, pochwalające stanowisko, zajęte przez rząd sułtański w sprawie emigrantów, pozostają-

cych w krajach padyszacha. Równocześnie jednak ambasadorowie Francyi i Anglii poczynili starania, mające na celu przywrócenie przyjaznych stosunków między Petersburgiem a Stambulem. Zamiast wygnania wychodźców z posiadłości sułtańskich, zaprojektowano internowanie tychże w miejscowościach, położonych wewnątrz państwa tureckiego, zdala od pasu granicznego. I na to ostatnie żądanie, przyjęte przez dwory północne, musiała Porta przystać pod wpływem konieczności politycznej

Gdy dyplomacya zawile toczyła spory co do interwencyi międzynarodowych traktatów o wydawaniu wychodźców, gorące rozprawy wrzały wśród emigrantów, którym Czajkowski z natchnienia Reszyda paszy poddał myśl zbiorowego przyjęcia islamu. Projekt ten nie znalazł miru wśród Polaków, przebywających w Szumli, którzy słusznie twierdzili, że z sumieniem nie można wchodzić w układy oraz, że dla ratowania bytu nie poświęcą wiary przodków.

A jednak w gronie szczupłym stosunkowo osobistości, które przyjęły naukę Mahometa, znalazł się Bem i nikt z licznych jego wrogów nie ośmielił się uczynić mu z tego powodu zarzutu. Bemowi szło jedynie o walkę na śmierć i życie z caratem. Zmiana wiary

była dla niego jeno środkiem do wywołania wojny, odnawiającej zgniecione powstanie ludów europejskich pod znakiem półksiężyca. Z przekonaniem powyższem nie tał się wcale generał, a nawet odradzał pytającej go w tej sprawie o zdanie młodzieży węgierskiej zmianę religii. „Ja moi panowie — mówił Bem do deputacyi, przybyłej pod wodzą pułkownika Ihász — nie ze strachu przyjąłem nową wiarę. Skłoniła mnie do tego kroku nadzieja, że w ten sposób będę mógł walczyć z nieprzyjacielem mej Ojczyzny, z Moskalami! Was taki wzgląd nie krępuje. Nie lękajcie się wydania, które nie nastąpi. Jesteście młodzi, świat przed wami otwarty. Idźcie zdobywać wiadomości, cierpcie, uczcie się. Przyjdzie czas, że będziecie mogli ojczyźnie swej oddać jeszcze większe usługi. Bylibyście dla niej straceni, gdybyście mieli, przyjąwszy islam, wstąpić do związku narodu, którego egzystencya w Europie jest tylko kwestyą czasu“.

Dyplomacya pokrzyżowała wielkie plany Bema, a raczej już Murada-Paszy, który zamianowany *musziirem* armii tureckiej, skazany został na bezczynność, gdyż z końcem lutego 1850 roku wywieziono go wraz z generałami Steinem i Kmetem do Aleppo, która to miejscowość przeznaczoną została na mie-

szkanie znakomitszym wychodźcom, przyjmującym islam, podczas gdy innych wywieziono do Kutahii.

W Aleppo zamieszkał Bem wśród ogrodów, w położeniu wielce niezdrowem. To też niebawem zaniemógł na febrę, lecz lekceważąc chorobę, odrzucał uporczywie rady lekarzy. Lubo złożony niemocą i wycieńczony do najwyższego stopnia, oddał pasza ludności Aleppo znakomitą usługę. Oto z wiosną 1850 roku podstąpiły pod miasto hordy azyatyckie, grożąc rzezią ludności chrześcijańskiej. Komendant szczupłej załogi miejskiej, Kerim-pasza, widząc grożące niebezpieczeństwo, udał się z prośbą o ratunek do Bema, który w jednej chwili orlim swym wzrokiem objął całą sytuacją. Koczownicza horda rozłożyła się tymczasem szerokim kołem pod bramami twierdzy. Synowie pustyni, wiedząc o postrachu, jakie najście ich rzuciło na miasto, wypoczywali wygodnie pod namiotami, cenne zaś ich rumaki, puszczone samopas, pasły się na błoniach w odległości działowego wystrzału. Cóż czyni sędziwy wódz polski? Każe dać ognia do koni z dział cytadeli. Salwa armatnia sprawiła straszliwe spustoszenie wśród pasącego się stada, a równocześnie Arabowie umknęli w straszliwym popłochu na pozostałych przy życiu wierzchowcach. Miasto ocalało.

Bem na widok uciekającego napastnika ozwał się do komendanta z zwykłym sobie spokojem:

— Spędziłeś, paszo, życie w Azji, a nie wiesz, że lud koczowniczy dba o swe konie, a nie o wojowników.

W kilka miesięcy później Murad-pasza dogorywał. Trawiąca gorączka pokonała ten żelazny organizm, opierający się tylekrotnie trudom i wysiłkom nadzwyczajnym. Przysłani przez konsula francuskiego lekarze zastali chorego już w agonii. W nocy z dziewiątego na dziesiątego grudnia Bem skonał. Na parę dni przed śmiercią napisał listy do Kossutha, oraz do Wysockiego z pożegnaniem i spalił wszystkie swe papiery.

Pogrzebano go na tureckim cmentarzu z twarzą ku Mece zwróconą, pod zwykłym na wschodzie grobowym głazem.

W ojczyźnie nie doczekał się Bem do tej chwili pomnika. W rodzinnem jego mieście, w Tarnowie, zawiązał się przed laty pod przewodnictwem ś. p. Karola Kaczkowskiego komitet, zamierzający uczcić pamięć wielkiego wodza pomnikiem. Ale zakaz rządowy stanął na przeszkodzie w urzeczywistnieniu tej myśli. Uprzedzili nas pod tym względem Węgrzy. W Ma-

ros Vasarhely, w siedzibie dzielnych Szeklerów, odsłonięto w dniu siedmnastym października 1880 roku pomnik wielkiego wodza. Z orężem w prawicy, oparty o działo, spogląda on groźnie ku północnej stronie...

K O N I E C.

